NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 4[illegible].

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 27 sierpnia 1921. Nr. 35.

Pies ratuje życie swojemu panu



Inspektor lwowskiej policyi W. Socha, przy pomocy swego psa „Kado" pokonuje trzech bandytów, którzy naszli jego mieszkanie.

Od Wydawnictwa.

Z powodu świeżej podwyżki płac personalu drukarni i kliszarni, oraz dalszego podrożenia papieru i chemikaliów, gazu i elektryczności, oraz taryfy przewozowej, zmuszeni jesteśmy podnieść z dniem 1. września b. r. cenę *„Nowości Illustrowanych“* na **40 Marek** za numer, wobec czego prenumerata naszego pisma wynosić będzie odtąd:

Kwartalnie . . . 494.— Mk.
Półrocznie . . . 998·— „
Rocznie . . . . 1976·— „

Czynimy to jedynie celem pokrycia wzrosłych w gwałtowny sposób wydatków, nie reflektując bynajmniej na jakieś zyski, by nie dać upaść wydawnictwu, istniejącemu lat już ośmnaście, co świadczy aż nazbyt wymownie o jego aktualności i potrzebie. Zapowiadany tak głośno „wolny handel“ wszedł w życie pod znakiem gwałtownego podrożenia wszystkich bez wyjątku artykułów, a zatem i tych, które są niezbędne do prowadzenia naszego pisma. Jeśli się nadto doda, że w niektóre z nich zaopatrywać się musimy za granicą, a kurs marki polskiej spada z dnia na dzień, okaże się łatwo zrozumiałą konieczność szukania nowych źródeł dochodu, ten zaś, nie stojąc na usługach żadnego stronnictwa, czerpać musimy wyłącznie z prenumeraty.

P. T. Czytelnicy zatem zechcą zrozumieć nasze wyjątkowo krytyczne położenie i przyjść nam z pomocą, nie odmawiając dalszego poparcia, na które pod każdym względem, mimo piętrzące się coraz bardziej trudności, staramy się zasłużyć. — Podrożenie obecne *„Nowości Illustrowanych“* jest stosunkowo nieznaczne, jeśli się zważy, że dopiero teraz podnosimy ich cenę na **czterdzieści Marek**, gdy w porównaniu z innemi pismami, jak to obliczył nasz kronikarz, powinny one już od miesiąca kosztować pięćdziesiąt trzy marki i trzydzieści trzy fen. za egzemplarz.

Pies ratuje życie swemu panu.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed niespełna tygodniem był Lwów widownią wypadku świadczącego bardzo smutno o stosunkach bezpieczeństwa, panujących w naszym kraju.

Miejscem wypadku było mieszkanie inspektora lwowskiej policyi, Walentego Sochy, przy ulicy Bema l. 1a. który, powróciwszy wieczorem do domu zastał drzwi otwarte, jedynie od wewnątrz zastawione jakimś ciężkim przedmiotem. Gdy je pchnął silnem uderzeniem i znalazł się we wnętrzu, przekonał się że w mieszkaniu operują bandyci. W drzwiach, wiodących do następnego pokoju zaatakowali go trzej mężczyźni, którzy poczęli go okładać laskami. Przed ich ciosami zasłaniał się ręką, cofając się jednocześnie w stronę łóżka, na którego krawędzi wisiał futerał z browningiem. W tej krytycznej chwili, gdy Socha bardzo łatwo mógł ulec liczebnej przewadze napastników, przyszedł mu z pomocą pies policyjny z rasy wilków Kado, którego z sobą przyprowadził. Rzucił on się na jednego z bandytów i ubezwładnił go, chwytając silnie zębami za spodnie w okolicy tylnej kieszeni. Dwaj pozostali starali się zapędzić Sochę w kąt pokoju, on jednak, doszedłszy przy cofaniu się przed atakującymi go do łóżka i pochwyciwszy browning, stał się panem sytuacyi. Bandyci, widząc grożące im niebezpieczeństwo rozpoczęli odwrót w stronę przedpokoju. Gdy wezwanie do zatrzymania się nie odniosło skutku, wystrzelił Socha w ciemności dla zastraszenia bandytów, którzy tymczasem schronili się do kuchni, gdzie jeden z nich runął na ziemię. Dojrzawszy na tle szklanych drzwi, iż drugi z nich mierzy w jego stronę z rewolweru, oddał drugi strzał, po którym rozległ się stuk ciała upadającego na podłogę. Z zamieszania skorzystał trzeci napastnik, wydostał się na balkon, z niego skoczył na podwórze i w ciemności ratował się ucieczką. Bezpośrednio po tem Socha począł wołać o pomoc, tymczasem zaś jednemu z ranionych bandytów, który otrzymał postrzał w piersi, udało się zbiedz po schodach do sieni i ujść bez przeszkody.

Na wołanie Sochy poczęli się na ulicy gromadzić ludzie, nikt jednak nie odważył się wejść do wnętrza z obawy przed bandytami. Pierwszymi którzy przybyli z ratunkiem byli starszy posterunkowy policyi Piotr Niewiadomski i starszy przodownik Antoni Talenta. Ten ostatni zajął się przedewszystkiem leżącym w kuchni bandytą u którego skonstatował ranę postrzałową na głowie, a przeprowadziwszy przy nim osobistą rewizyę znalazł w jego kieszeniach prócz legitymacyi stwierdzającej, że nazywa się Pejsach Sarwara i pochodzi z Rokitna w Rosyi, kilka wytrychów, kartkę z adresami mieszkań przeznaczonych do ograbienia i dość tajemniczo brzmiący telegram. Z polecenia lekarza dzielnicowego dra Dolińskiego ciężko rannego bandytę w stanie bezprzytomnym przewiozło pogotowie do Szpitala powszechnego. Równocześnie Niewiadomski puścił się w pogoń za opryszkiem, który z balkonu ratował się ucieczką na podwórze a stamtąd w ogrody. Przy pomocy żołnierzy udało się go przytrzymać na podwórzu koszar Bema. Był nim Nuchim Karas, rodem z Korca na Wołyniu. I w jego kieszeniach znaleziono klucze, służące niezawodnie do ułatwienia w wykonaniu „rzemiosła“. Trzeciemu z napastników również mojżeszowego wyznania, udało się na razie ujść niespostrzeżenie.

Inspektor Socha ocalenie zawdzięcza przedewszystkiem swemu psu. Gdyby nie konsternacya, jaką wywołał Kado, atakując jednego z napastników i to z najczulszej strony, kto wie czy nie byłby padł ich ofiarą.

Nasi wojewodowie.

Mimowoli cofamy się myślą w te czasy, gdy ze szczytu Zamku wawelskiego powiewał dumnie amarantowy sztandar z wizerunkiem Białego Orła, a w imieniu Króla-jegomości sprawował rządy nad naszą dzielnicą pan wojewoda. Przeciwne losy zburzyły gmach naszej państwowości, pozbawiły nas niezależności i rozdarły brutalnie na trzy części. To, co potem nastąpiło, to jak gdyby przykry sen, z którego zbudziła nas dopiero wojna światowa, dzięki której i nam zabłysła jutrzenka wolności.



Nasi wojewodowie: Wojewoda krakowski, dr. Kazimierz Gałecki.

Od listopada 1918 roku pozbyliśmy się nieproszonych gości i rozpoczęliśmy nowe życie, jako panowie na swej własnej ziemi, a nie poddani obcego nam władcy. Organizm nasz państwowy kształtuje się powoli ale stale, pozbywamy się obcych naleciałości i powracamy pod dawne znaki Białego Orła.

Rzeczpospolita podzieloną została wedle dawnego systemu na województwa, a ustrój ten administracyjny wprowadza się we wszystkich byłych zaborach, aby w ten sposób zatrzeć te sztuczne różnice, jakie powstały skutkiem podziału między trzech jej sąsiadów. Na były zabór austryacki przypadły cztery województwa: krakowskie, lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie. Likwiduje się dawne urządzenia administracyjne, a w ich miejsce wprowadza się nowy porządek.

Z dniem 1. września b. r. rozpoczyna swe urzędowanie Województwo Krakowskie, obejmujące zachodnią część Małopolski i przyznany nam skrawek Księstwa Cieszyńskiego. Wojewodą krakowskim mianowany został były szef sekcyi w austryackiem mi-



Nasi wojewodowie: Wicewojewoda krakowski, Władysław Kowalikowski.

nisterstwie skarbu, minister dla Galicyi, a ostatnio Jeneralny Delegat dla Małopolski, dr. Kazimierz Gałecki, jego zastępcą zaś dotychczasowy Delegat Namiestnictwa i starosta krakowski, Władysław Kowalikowski.

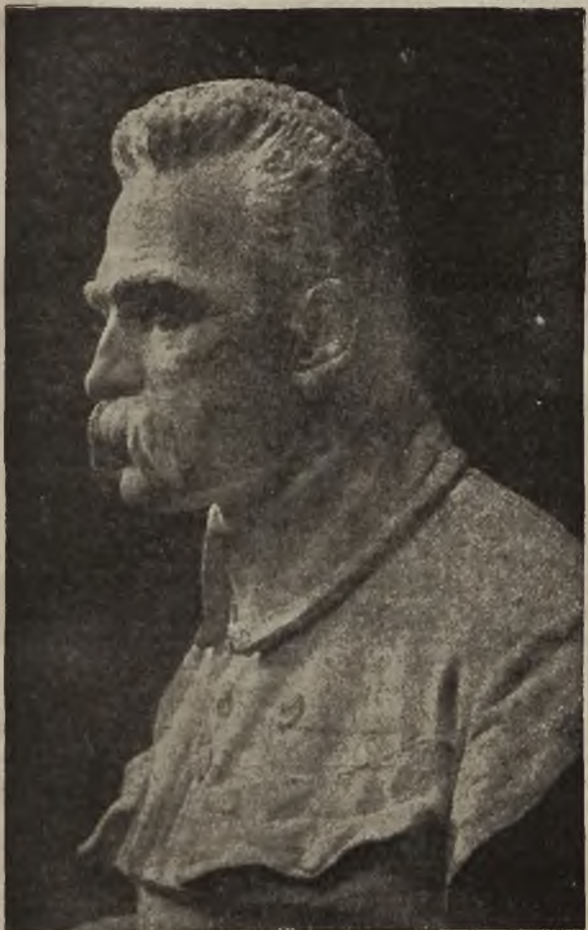
Obaj nominaci, to osobistości powszechnie u nas znane ze swej dotychczasowej owocnej działalności, związane ściśle z losami tak tej części naszego kraju, jak i samego miasta.

Wojewoda, dr Kazimierz Gałecki, ukończywszy w Krakowie gimnazyum św. Anny i studya prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, poświęcił się karyerze urzędniczej, którą rozpoczął w Prokuratoryi skarbu, skąd następnie powołany został do Ministerstwa finansów we Wiedniu, gdzie pozostawał aż do upadku Austryi. Jako szef sekcyi, a następnie minister dla Galicyi, rozwinął bardzo żywą działalność na rzecz naszej dzielnicy, której interesów wobec Korony i rządu centralnego był zawsze gorącym rzecznikiem. Była Galicya ma jego staraniom bardzo wiele do zawdzięczenia. Po przełomie, reprezentant Polski we Wiedniu, położył wielkie zasługi przy likwidacyi naszego stosunku do monarchii habsburgskiej, jako Jeneralny Delegat dla Małopolski zapisał się również bardzo dodatnio przy wprowadzaniu w życie nowego systemu administracyjnego. Doskonały prawnik, wytrawny znawca stosunków krajowych, niestrudzony pracownik, świecący przykładem swym podwładnym, jest dr Gałecki prawdziwym wzorem obywatela-urzędnika, czego dowody złożył tak poprzednio we Wiedniu, jak i na ostatniem swem stanowisku. Cieszył się też zawsze ogólnem uznaniem i sympatyą u swoich i obcych, serdeczne stosunki wiązały go z najwybitniejszemi osobistościami ze świata politycznego, między niemi zaś ze ś. p. ministrem Dunajewskim, który potrafił ocenić jego wybitne zdolności, zwłaszcza na polu finansowem. Sprawa odbudowy byłej Galicyi ma drowi Gałeckiemu bardzo wiele do zawdzięczenia.

Niemniej szczęśliwym jest wybór dotychczasowego Delegata Kowalikowskiego na zastępcę wojewody.

Krakowianin, wychowanek również gimnazyum św. Anny i Uniwersytetu Jagiellońskiego, po odbyciu praktyki w lwowskiem Namiestnictwie pełnił

kolejno służbę administracyjno-polityczną w starostwach w Pilźnie, Wadowicach, Tarnowie i Nowym Targu, następnie zaś w Krakowie przez lat dwadzieścia jeden, z czteroletnią przerwą, w czasie której piastował godność starosty w Brzesku. Jako zastępca delegatów Laskowskiego, Fedorowicza i Biesiadeckiego, był właściwym kierownikiem krakowskiego Starostwa, dając się poznać na tem stanowisku szerokiemu ogółowi, jako nadzwyczaj zdolny, sumienny i pracowity urzędnik, umiejący pogodzić spełnianie swych obowiązków z poczuciem prawdziwie obywatelskiem, wychodzącem z założenia, że urząd jest dla społeczeństwa i powinien się stale starać iść mu na rękę. Zwłaszcza w czasach wojny zaznaczył starosta Kowalikowski bardzo wybitnie swą obywatelską działalność, broniąc skutecznie mieszkańców powiatu przed szykanami austryackich władz wojskowych. Ogólną też radość i zadowolenie wywołała wiadomość o oddaniu Delegatury krakowskiej po powołaniu delegata Biesiadeckiego do Gdańska, w ręce jego zastępcy. Jako delegat, miał p. Kowalikowski jeszcze więcej sposobności do rozwinięcia swej wydatnej działalności, która nie ograniczała się na sam powiat, ale dotyczyła i miasta, gdzie z mocy swego urzędu objął stanowisko Komisarza rządowego Miejskiej Kasy Oszczędności, Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń i Krakowskiej Spółki Tramwajowej.



Odsłonięcie pomnika Naczelnika Państwa w Przemyślu: Popiersie Naczelnika dłuta prof. Błotnickiego.

Województwo Krakowskie w osobach swego kierownika i jego zastępcy zyskuje ludzi, dających pełną gwarancyę, że tak sam urząd, jak i ludność wyjdą jak najlepiej na tym wyborze. Dotychczasowa działalność obydwu urzędników obywateli jest rękojmią, że i na nowem stanowisku pozostaną wierni swym zasadom, każącym im pełnić sumiennie i gorliwie swe obowiązki z korzyścią tak dla piastowanego urzędu, jak i dla tych, którzy z nim wchodzą w styczność, to jest nie pod znakiem bezdusznego biurokratyzmu, lecz w myśl prawdziwie obywatelskiego poczucia, dążącego do usuwania nieporozumień między rządzącym a rządzonym, nie zaś do niepotrzebnego ich tworzenia.

Odsłonięcie pomnika Naczelnika Państwa w Przemyślu.

W niedzielę dnia 7 sierpnia b. r. dla uświetnienia siódmej rocznicy wkroczenia Legionów Polskich pod wodzą Józefa Piłsudskiego do Królestwa Polskiego, odsłonięto pomnik Naczelnika Państwa, wykonany przez znanego artystę-rzeźbiarza prof. Tadeusza Błotnickiego z Krakowa. Inicyatorem tego uczczenia zasług Naczelnika był kpt. Bazyli Rogowski były legionista z r. 1914. Korpus oficerski przejął myśl i zrealizował ją opodatkowując się do sumy przeszło 150.000 Mkp. t. j. kosztów odlewu popiersia i wykonania postumentu kamiennego. Model popiersia Naczelnika Państwa prof. Błotnicki oddał bezinteresownie, zaś firma E. i K. Kowalkowscy w Krakowie, wykonała go w bronzie, otrzymawszy metal ze zbiórki komitetu oficerskiego. Znana firma kamieniarska Stanisława Majerskiego zajęła się wykończeniem postumentu według planów prof. Błotnickiego, wywiązując się bardzo chwalebnie z trudnego zadania. Roboty ogrodnicze wykonał p. Gold, ogrodnik miejski. Przy akcyi budowy pomnika Naczelnika Państwa Budownictwo wojskowe w Przemyślu skutecznie przyczyniło się do zrealizowania tego dzieła sztuki, a głównie pp. ppułk. inż. Barancewicz, major dr. iż. Molenda, kpt. inż. Bystrzycki i budowniczy Pileszek.

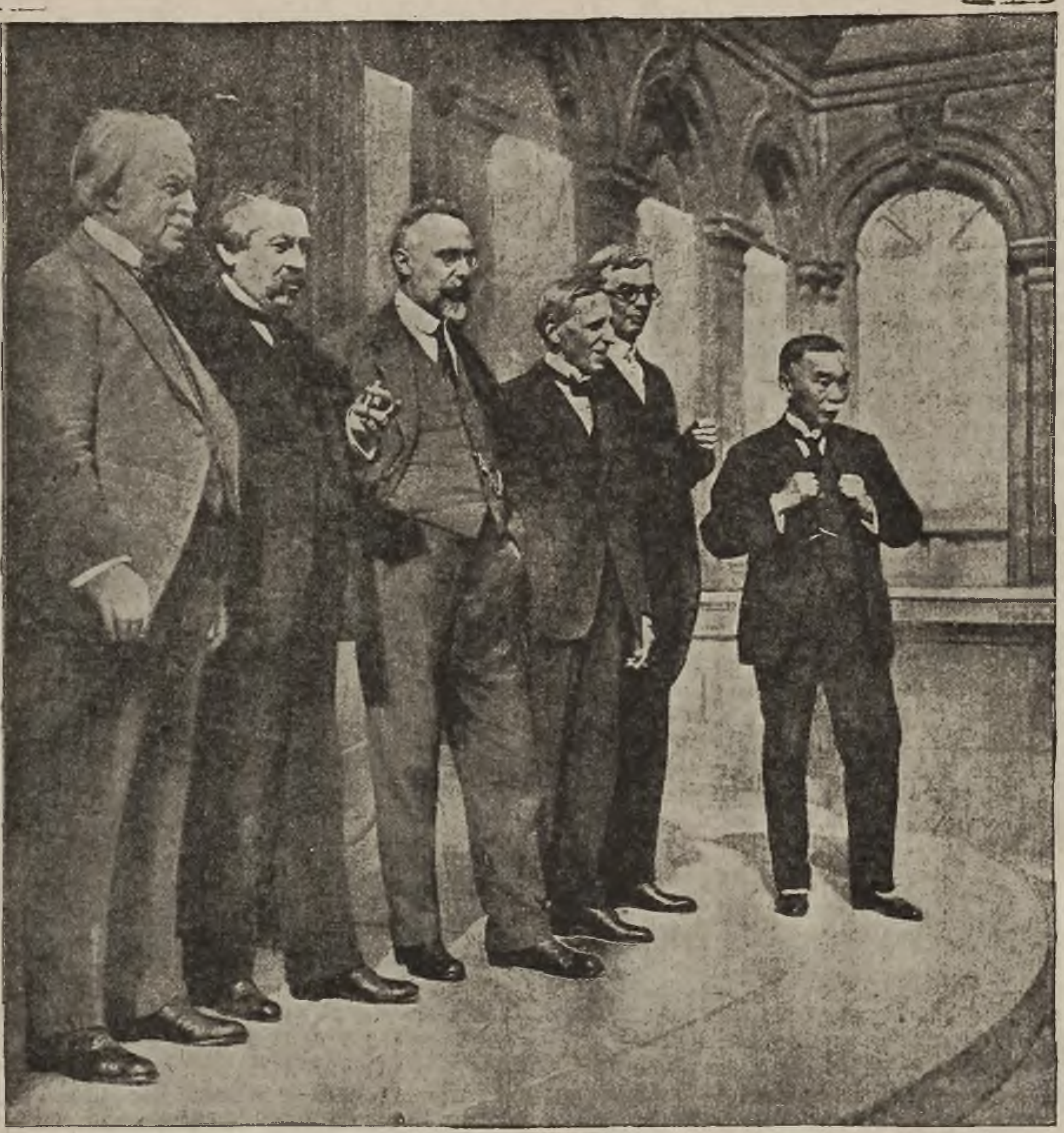


Odsłonięcie pomnika Naczelnika Państwa w Przemyślu: Prof. T. Błotnicki, twórca pomnika.

Uroczystość przy nadzwyczaj sprzyjającej pogodzie wypadła podniośle, rozpoczęta mszą polową odpra-



Odsłonięcie pomnika Naczelnika Państwa: Komitet budowy pomnika po jego odsłonięciu. Przybyły na uroczystość w zastępstwie jen. Lamezana jen. Szymański (1), twórca pomnika artysta rzeźbiarz T. Błotnicki (2), komendant obozu warownego przemyskiego pułk. Stecz (3), burmistrz m. Przemyśla, Kostrzewski (4).



O losy Górnego Śląska: Członkowie Rady Najwyższej przed pierwszem posiedzeniem w dniu 8 sierpnia b. r. Na pierwszym planie Lloyd George, za nim Briand, Benomi, Torretta, Harvey, wicehrabia Ishii.

wioną na rynku przez kapelana załogi. Następnie po defiladzie wojskowej przed jen. Szymańskim, który przybył na uroczystość w zastępstwie jen. Lamezana, dowódcy D. O. Gen. we Lwowie, odbyło się odsłonięcie pomnika Naczelnika Państwa w ogrodzie Kasyna Wojskowego poprzedzone przemówieniem płk. Sykstusa Stecza, komendanta przemyskiego



Zgon wybitnej działaczki: Zmarła w Krakowie w dniu 17 sierpnia br. ś. p. Marya Piłsudska, żona Nacz. Państwa.

obozu warownego, do zebranych reprezentantów instytucyi rządowych, gminnych, obywatelskich i wojska. Mowca jako przewodniczący komitetu, wyjaśnił genezę uroczystości i podziękował wszystkim za chętne przyczynienie się do zrealizowania dzieła sztuki i symbolu widomego naszej niepodległości. W uroczystości, obok korpusu oficerskiego, wzięła udział liczna publiczność, oraz przedstawiciele duchowieństwa, urzędów, władz, szkół, towarzystw polskich, między nimi poseł dr. Leonard Tarnawski, marszałek powiatu, dr. Drużbacki, burmistrz miasta Kostrzewski i wielu innych.

Przemyśl przeżył podniosłą chwilę bezpośrednio przed pierwszą rocznicą zwycięstwa nad nawałą bolszewicką, i zyskał nowe dzieło sztuki.

Pomnik Naczelnika Państwa w Przemyślu jest pierwszem tego rodzaju uczczeniem twórcy Legionów Polskich w większym stylu. Przed niespełna rokiem odsłonięto wprawdzie w obozie dla internowanych w Dąbiu pod Krakowem pomnik Naczelnika, była to jednak przeróbka dawnego, pozostałego jeszcze z austryackich czasów.

Pomnik przemyski, to dzieło sztuki stanowić mogące prawdziwą ozdobę każdego miasta. Ale nic w tem dziwnego, wszak jest to dzieło artysty tej miary, co prof. Tadeusz Błotnicki, cieszący się zasłużonem uznaniem nie tylko u nas w kraju, ale i daleko poza jego granicami. Przemyśl czcząc w ten sposób zasługi Naczelnika, wyprzedził inne polskie miasta składając zarazem dowód swej polskości, choć losy dały mu miejsce po prawym brzegu Sanu, który niektórzy politycy uważali dawniej za ruski, dziś zaś za ukraiński.

Inicyatorom wzniesienia pomnika i wszystkim tym, którzy do tego dopomogli, należy się szczera wdzięczność i uznanie. Przemyśl nie po raz pierwszy i z pewnością nie po raz ostatni manifestuje głośno swe narodowe uczucia, których już tyle złożył dowodów, zadając w ten sposób kłam różnym Petruszewyczom, Szeptyckim i im podobnym, że u brzegów Sanu kończy się ziemia polska, bo i po tamtej jego stronie bije polskie serce i to może nawet żywiej i głośniej, niż u niejednego z nas, który nie był nigdy narażony na cierpienia i prześladowania za swe narodowe uczucia.

O losy Górnego Śląska

Dalszy akt tragikomedyi górnośląskiej rozgrywał się na posiedzeniu Rady Najwyższej w Paryżu, począwszy od dnia 8 sierpnia b. r. Nazywamy ją tragikomedyą, gdyż zasługuje zupełnie słusznie na to miano. Aktorzy, którzy w niej główne objęli role, dokładają wszelkich starań, aby ona była naprawdę komedyą, a wynik jej ze względu na nas już dziś zapowiada się tragicznie. Do walki stanęły dwa przeciwne sobie obozy, w jednym z nich Francya,



O losy Górnego Śląska: Mapka terenu plebiscytowego wraz z różnemi liniami podziału (według źródeł francuskich).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

56

Ja jeden, jedyny miałem to szczęście patrzeć na to cudowne przeobrażenie i tylko sam wiedzieć będę i rozumieć uczucie, które nią wstrząsało aż do szału. Ale tego nie powiem nikomu. Byłoby to zbeszczeszczenie świętej tajemnicy grobu.

Te trzydzieści dni miłości, Ranieri, równają się życiu całemu, tak nasze dwa istnienia potrafiły wznieść się wysoko ponad wszystko, co banalne, małe i nędzne. Ty, Ranieri, który kochasz, zrozumiesz mnie, choć ja więcej ponadto powiedzieć nie mogę.

W dwadzieścia dni po naszej ucieczce odebraliśmy długi, szyfrowany telegram od Dicka Leslie, w którym ostrzegał nas, że Markus Henner, szalejąc z wściekłości, czyni drobiazgowe poszukiwania za nami w Ameryce, że dawno już wyjechał z Londynu i być może, udał się w kierunku, w którym podążyliśmy. Dick przypuszczał, że Henner już wpadł na nasz ślad i radził nam nie podążać już dalej, gdzie garbus mógłby nas odszukać, ale powracać bezzwłocznie do Anglii. Telegramu tego nie pokazałem Maryi, bo ilekroć dotąd wspominałem jej o Markusie Hennerze, wpadała w zatrważający stan podniecenia i niezmiennie mówiła mi, że przeczuwa jeszcze wielkie jakieś, śmiertelne niebezpieczeństwo, grożące jej ze strony dawnego swojego prześladowcy.

Rada Dicka Leslie, abym powracał z Maryą do Anglii, wydała mi się trochę dziwna, ale podobała mi się właśnie wskutek swojej oryginalności. Było prawdopodobnem, że Markus Henner, nie znalazłszy nas w obrębie Anglii, poszukiwać nas będzie w innych krajach. Zatelegrafowałem więc natychmiast do Dicka, aby mi wyszukał odpowiednią willę, w miejscu mało uczęszczanem, gdzie mógłbym ukryć Maryę aż do chwili, kiedy ten straszny potwór zagubi zupełnie ślad po nas i wyrzeknie się dalszych poszukiwań, lub też zginie z wściekłości. Dick wskazał mi wyspę Wight i sam zajął się wyszukaniem willi w Coves, w miejscowości, uczęszczanej jedynie przez turystów w miesiącach letnich.

Wyjazd nasz z Scheveningen rozdrażnił Maryę. Pomimo melancholii i smutku, jakim się odznaczała ta miejscowość, polubiła ją, a pomruki burz częstych nie czyniły już na niej deprymującego wrażenia. Bylaby wolała tu pozostać; każda zmiana niepokoiła ją, a przytem w jej umyśle zrodziło się podejrzenie.

— Ten człowiek odkrył nasz ślad, nieprawdaż, Robercie? — zapytała mnie drżącym głosem.

— Nie, moja najdroższa — odpowiedziałem. — Uspokój się. Lekarz odradza mi dłuższy pobyt tutaj ze względu na twoje zdrowie.

— Oh! Robercie! zostańmy tu! zostańmy! — błagała.

W każdej okoliczności najdrobniejsze życzenie Maryi było dla mnie jedynem prawem i rozkazem! Jakże kochałem te drogą i słabą istotę, tak piękną w jesieni swojego życia, tak słodką i tak pociągającą. Gdyby była zażądała mojej śmierci, bez wahania uczyniłbym zadość jej żądaniu, a przecież miałem zaledwie lat trzydzieści. Ale ja zanadto lękałem się wówczas jej prześladowania Markusa Hennera, zanadto uczuwałem potrzebę pozostania z nią w samotności, żeby uledz jej prośbie! Oh! Ranieri! gdybyśmy byli jednak pozostali w Scheveningen! Ale przeznaczenie nasze pchało nas do Coves na wyspę Wight i korzystając z wpływu, jaki miałem na Maryę, wytłómaczyłem jej konieczność wyjazdu naszego.

Wyjechaliśmy więc. Nie zauważyłem w ciągu podróży, aby ktoś nas śledził, ani też nic podejrzanego. Poczyniłem zresztą wszelkie kroki ostrożności, aby przyjazd nasz do Coves odbył się w jak najlepszych warunkach. Willa, wynaleziona przez Dicka Leslie, okazała się istną oazą miłości. Mieliśmy morze pod naszemi oknami i dom cały tonął w powodzi roślin i kwiecia. Nie było można wyobrazić sobie coś bardziej osamotnionego, a równocześnie wesołego, jak ten mały domek, w którym zamieszkaliśmy z Maryą. Moja najdroższa cieszyła się jak dziecko nowem swojem mieszkaniem. W tych kilku dniach, w których tam pozostała ze mną, zdawała mi się być jeszcze odmłodzoną. Cera jej przybrała rasową barwę, a oczy zdrowego, naturalnego blasku. Jedyną jej myślą teraz było otrzymać rozwód z Mojżeszem Kabib i móc połączyć się ze mną legalnym węzłem. Myślała także ciągle o swojej córce, którą obiecałem jej odszukać.

Tak jak Ci już wspomniałem, kochany Ranieri, okna naszej willi wychodziły na morze i chociaż byliśmy w pewnej odległości od Coves, przez dobrą lunetę mogliśmy obserwować wdzięczny, mały port, który od początku czerwca aż do końca września jest punktem, do którego wpływają yachty całego świata. Tymczasem jednakże prócz trzech łodzi, które tam stały bez wioseł i żagli, nie było można dojrzeć nic innego. Gdyby więc Markus Henner miał przybyć za nami do Coves, musielibyśmy pierwsi o tem wiedzieć.

Zrozumiesz łatwo, że całkiem spokojnym być jednak nie mogłem. Byłem zawsze z natury odważny i nie lękałem się śmierci, bo byłem i jestem fatalistą pod tym względem. Ale teraz miałem przy sobie istotę nad życie mi drogą, a ta istota była bezustannie pod groźbą władzy swojego prześladowcy i kata.

Kiedy kochany, mój przyjacielu — a musisz o tem wiedzieć — jesteśmy równocześnie silni i słabi, bo nic nie jest w stanie oderwać nas od ukochanej istoty, a zdaje nam się, że wszyscy nam ją wydrzeć pragną. Dla siebie samego byłbym stawił czoło i lekceważył sobie każde niebezpieczeństwo — ale dla mej Maryi obawiałem się wszystkiego. Z tej przyczyny czuwałem bezustannie nad służbą naszą i nad wszystkimi — a byli oni nieliczni, którzy zbliżali się do naszego domu. Ilekroć także Marya widzieć mnie nie mogła, obserwowałem port przez lunetę, ale dotąd nic podejrzanego nie dało mi się dojrzeć ani w porcie, ani w okolicy.

Czyżby Markus Henner naprawdę zagubił ślad po nas? Lub też pocieszył się po zniknięciu Maryi?

Uspakajałem się stopniowo i używałem całą pełnią szczęścia obok Maryi, bez troski już i dawnego niepokoju. Tak, to było możliwe przecież. Markus Henner stracił nasz ślad na zawsze.

Ale pewnej nocy zaszło coś strasznego i bardzo bolesnego dla mnie.

Była może godzina druga w nocy i Marya spoczywała spokojnie przy moim boku. Ja zaś nie spałem i przyglądałem się jej wypogodzonej twarzy z uczuciem radosnego zadowolenia.

Lampa przyćmiona różowym abażurem, rzucała łagodne cienie na jej piękne, delikatne rysy. W niemym podziwie trwałem długą chwilę, wpatrzony w ukochaną kobietę. Nagle zdało mi się, że ciężkie westchnienie wybiegło z jej piersi. W pierwszej chwili myślałem, że się mylę i jeszcze niżej pochyliłem się nad nią jak stłumiony, a potem zduszone łkanie, bolesne i trwożliwe szarpnęło całem jej ciałem. Czułem, jak blednę z trwogi i niepokoju. Obawiałem się ją obudzić, chociaż widziałem dobrze, że była pod wrażeniem jakiegoś okropnie dręczącego snu. Marya dalej jęczała i skarżyła się jak dziecko. Oddech jej stał się ciężki i świszczący, poruszyła się kilkakrotnie konwulsyjnie na łóżku i w końcu rzuciwszy straszny, przeszywający okrzyk, usiadła na posłaniu, patrząc szeroko rozwartemi oczami przed siebie.

— Maryo! Maryo! co ci jest? — pytałem, ściskając ją gorączkowo w ramionach.

— Oh! Boże! Boże! błagam cię! ratuj mnie! — krzyczała nieprzytomnie, nie zdając sobie sprawy z mojej obecności.

— Ale co ci jest, Maryo? Maryo! Obudź się! Jestem przy tobie! Nie lękaj się niczego. Czy sen jaki przeraził cię do tego stopnia?

— Sen? jaki sen? — szepnęła. — Robercie, jesteś tu, nieprawdaż? Ja nie śniłam... ja go widziałam!

— Kogo?

— Markusa Hennera!

— Uspokój się, moja najdroższa; przyśniło ci się coś niedobrego!

— Nie, Robercie, nie! On tu jest! Czuję go. On mnie przywołuje do siebie, chce mnie widzieć! Ah! Robercie! broń mnie! On mnie stąd zabierze!

— Nie, Maryo! jesteśmy sami. Taka cisza panuje w całym domu, a ty jesteś przy mnie, w moich ramionach!

Napróżno pieszczotami i najczulszemi słowami starałem się ją uspokoić. Marya trwała ciągle pod wrażeniem swojego snu. Patrzała na mnie błędnemi oczami tak, jak gdyby nie widziała mnie wcale i mówiła ciągle o Markusie Hennerze! Powtarzała rozdzierającym, wylęknionym głosem, że on tu jest w domu, lub gdzieś w pobliżu, z uporem człowieka dotkniętego szałem. Słowa jej wstrząsały mnie do głębi. Sny są snami, lecz zmysły Maryi, przeczulone bólem, intuicya jej, wyolbrzymiona przez sen magnetyczny, w który pogrążał ją tak często ten potwór, kazały mi przypuszczać, że mogło być coś z prawdy w jej widzeniu. Chciałem wyjść z pokoju, obejść całą willę, zbadać każdy kąt dokładnie, aby się przekonać, czy niema gdzie kogo ukrytego i czy wszystkie drzwi są dobrze zamknięte, ale Marya ściskała mnie tak konwulsyjnie w ramionach, że nie śmiałem się ruszyć, bo gdybym się był oddalił, mogłaby umrzeć z przerażenia. Później już starałem się uzmysłowić trochę sen biednej Maryi; opowiedziała mi, że ujrzała nagle Markusa Hennera przed sobą u stóp łóżka, z twarzą okropnie wykrzywioną rozpaczą i gniewem, że potwór groził jej śmiercią, jeżeli do niego nie powróci, a kiedy krzycząc usiadła na łóżku, widziała, jak Markus Henner oddalił się szybko ku balkonowi i znikł jak duch za oknem. Marya opowiadała to z takiem przekonaniem i prawdą, że zostałem wstrząśnięty głęboko, nie wiedząc, co myśleć o całem tem zajściu.

Kiedy uspokoiła się trochę, wstałem i instynktownie podszedłem do balkonu. Balkon ten wychodził na morze i pomimo ciemności doskonale dostrzedz mogłem, że nie było na morzu żadnej łodzi czy też statku.

— Przecież to był tylko sen — myślałem, chcąc ją i siebie uspokoić.

Ale zapomniałem o tem, że natury tak wysubtelnione jak Marya, posiadać mogą wzrok podwójny i wyczuwają rzeczy, niewidzialne i niezrozumiałe dla nas. Kiedy świt nadszedł, Marya zasnęła, trzymając ciągle moją rękę w swojej dłoni. Od czasu do czasu dreszcz nerwowy wstrząsał całem jej ciałem. Ja już zasnąć nie mogłem. Kiedy już dzień się zrobił, pozostawiłem ją samą i zeszedłem na dół, poczem do ogrodu, lecz nigdzie nie znalazłem nic anormalnego. Tylko w porcie, w pewnej odległości, stały ciągle nieruchomo te trzy yachty, o których już wspominałem. Pomimo paru godzin snu i mojej obecności, Marya obudziła się bardzo podniecona i rozdrażniona. Dnia tego nie chciała wcale wyjść z naszego sypialnego pokoju. Musiałem uczesać jej piękne włosy, w których z radością ukrywałem twarz i ręce, bo nie chciała widzieć przy sobie swojej panny służącej i pozwolić, by jej pomogła w ubraniu się. Przez cały dzień nie chciała choćby na krótką chwilę rozłączyć się ze mną, tak jak gdyby przeczuwała, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo wspólne.

Wierz mi, Ranieri, wszystkie minuty tego dnia pozostały wyryte w mojej pamięci i w duszy jak żywe i pozostały najdroższem wspomnieniem mojego życia. Nawet w godzinie mojej śmierci nie zapomnę, co przeżyłem w tym dniu pamiętnym.

Dnia tego Marya, roztęskniona do miłości i życia, dała mi zakosztować takiej rozkoszy i wzruszenia, że teraz, kiedy piszę o tem, jestem wprost nieprzytomny i oszołomiony jeszcze tą bezpowrotną chwilą. Marya zachowała zwyczaj noszenia długich, białych sukien, które ją owijały szczelnie, pozostawiając wolność i swobodę ruchów. Z długimi swoimi włosami, uczesanymi w dwa warkocze, z tą twarzą białą o delikatnych, rzeźbionych rysach, była idealnym typem kochanki. Jeżeli dnia tego miłość jej dla mnie doszła do szczytu, to moja miłość dla niej przybrała formę czegoś nienaturalnego i nieziemskiego. Chwilami wprost cieszyłam się, że sen ten straszny doprowadził ją do tej ekstazy i subtelnego podniecenia. Kiedy nadszedł wieczór, Marya zapragnęła, aby nam podano kolacyę w sypialnym pokoju i po raz pierwszy wypiła całą szklankę wina reńskiego, nie mieszając go wcale z wodą. Zdawało mi się, że się chce ogłuszyć. Od czasu do czasu dreszcz bolesny przebiegał jej ciało i wówczas konwulsyjnie ściskała moją rękę, szukając we mnie podpory i uspokojenia. Nie mówiłem nic do niej, nie starałem się nawet pocieszać ją, bo i mnie wraz z nadchodzącą nocą niedobre przeczucia ogarniać zaczynały. Niekiedy bladła śmiertelnie i nadsłuchiwała jakichś szmerów dalekich.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Nasza nowa powieść

W niniejszym numerze naszego pisma rozpoczynamy druk nadzwyczaj interesującej i aktualnej powieści pióra p. Jadwigi Migowej, znanej naszej literatki i publicystki, p. t.

„PANTERKA"

Osoba Autorki nie jest obcą Czytelnikom *„Nowości Illustrowanych"*. Na łamach naszego pisma zamieszczała już swe utwory, pisane pod pseudonimem Adama Wiarygi Minieskiego, budząc nimi ogólne zainteresowanie, które do dnia dzisiejszego nie osłabło w szerokich kołach naszych Czytelników, dopominających się niejednokrotnie o powiadomienie, jaki los spotkał Józię Maliniewiczównę, Kornelkę Wittowtównę i wiele innych postaci, z któremi naprawdę współczuto, jak gdyby to były osoby realne, a nie twory fantazyi autorskiej, przedstawione jednak tak plastycznie i żywo, iż przykuły do siebie od pierwszej chwili uwagę czytającego.

Dziś p. Migowa zrzuca przyłbicę i występuje w szranki pod swem własnem nazwiskiem, a nowy jej utwór, również aktualny, gdyż oparty na powojennych stosunkach, podzieli los poprzednich, zajmując Czytelnika zarówno nadzwyczaj interesującą fabułą i nad wyraz plastycznem psychologicznem ujęciem postaci, w czem Autorka okazała się prawdziwą mistrzynią. Bohaterowie jej obecnej powieści, to osoby, jakich dziś wiedzimy wiele dokoła nas, a przeżycia ich są wierną kopią tego, na co własnymi oczyma patrzymy. I z nimi mósimy współczuć, cieszyć się ich radościami i boleć nad ich smutkami i niepowodzeniami, a niewątpliwie niejeden z Czytelników znajdzie tam, jak w zwierciadle odbicie własnych swych losów, skreślone barwnie i z talentem. Autorka nie należy do rzędu tych, co to bujają po gwiazdach i obłokach, aby w końcu spaść na ziemię i wywołać rozczarowanie, ona chodzi po ziemi i życie przedstawia w takich kolorach, jakiem jest w rzeczywistości i tem właśnie zdobywa sobie wstępnym bojem Czytelnika.

Jeśli do tego dodamy, że opracowanie jest nader staranne, a język utworu potoczysty i nieskażony obecnemi naleciałościami, mamy w przybliżeniu krótką charakterystykę nowej powieści, której wartość ocenią zresztą najlepiej sami Czytelnicy.

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

1) ROZDZIAŁ I.

— Pan dyrektor prosi pannę Łączkównę — oznajmił woźny, wchodząc do pokoju, gdzie sześć panien stukało na maszynie.

Pośród maszynistek zawrzało jak w ulu. Nowy dyrektor, o którym krążyły istne legendy, wzywa Stefę Łączkównę. Dlaczegóż właśnie ją?

— Czy dlatego, że najgorzej pisze na maszynie? — zauważyła złośliwie jedna z koleżanek.

Stefa, nie reagując na tę uwagę, w której było tyleż słuszności, co i zazdrości, przesunęła czerwoną pomadką po — i tak już krwisto-czerwonych wargach, musnęła puszkiem od pudru policzki, poprawiła złotą grzywkę i wyszła z miną tryumfującą.

Zaledwie zniknęła za drzwiami, gdy na progu ukazał się młody mężczyzna szczupły, niepokaźny blondyn, o twarzy anemicznej, dziwnie łagodnej.

— Panny Stefanii niema?

Pięć panien zachichotało szydersko.

— Pan dyrektor ją zawezwał, pewnie ją zrobi swoją sekretarką... osobistą!...

— Cieszy się pan z tego, panie Julianie?

Anemicznemu blondynowi fala krwi uderzyła do twarzy. Nie odrzekł jednak ani słowa i pożegnawszy wytwornie grzecznym ukłonem wyśmiewające go dziewczęta, odszedł.

W kilka minut później powróciła Stefa. Miała minę daleko mniej pewną, aniżeli przedtem, a z oczu jej zielono fosforyzujących przezierało rozczarowanie i tłumiony gniew.

— No cóż — rzuciła zapytanie niebieskooka szatynka Kazia, zaczesująca włosy w „stylowe", jak twierdziła, pukle i loki.

— A no nic. To jakiś nudziarz, kazał, żeby przyszła ta panna, która pisze najszybciej na maszynie i bez błędu!...

Maszynistki spojrzały po sobie. Cieszyła je widoczna porażka Stefy, której zazdrościły urody i powodzenia u mężczyzn, ale nie czuły się na siłach zaspokoić wymagania zwierzchnika, żądającego dokładnej roboty.

— Ano, to chyba Bronka — zaśpiewała lwowskim akcentem Mania, rumiana, pucołowata dziewczyna, obdarzona od natury kurzym mózgiem i niezwykłą prostodusznością serca.

— Bronka, Bronka! — przyznały wszystkie oprócz Kazi, odznaczającej się równie wielką ambicyą, jak brakiem pilności i kwalifikacyi.

— Bronka śniada, chuda, mizerna — wstała, najwidoczniej zakłopotana tą wyrocznią koleżanek w sprawach ortografii, gramatyki i wszelkich wiadomości naukowych, nie przywykła do tego, aby ją w czemkolwiek wyróżniano. Cicha, spokojna, wiecznie zapracowana, nie brała prawie żadnego udziału w plotkach, flirtach i rozmowach o strojach, stanowiących treść bytowania jej towarzyszek biurowych. Żyła swojem odrębnem życiem i nikt właściwie nie wiedział, co ta milcząca dziewczyna myśli. A że myśli, świadczył o tem skupiony wyraz jej fizyognomii o nieregularnych rysach i żółtawej cerze i głębokie spojrzenie czarnych, ognistych oczu, upiększających tę nieładną skądinąd twarz.

Dążąc posłusznie na wezwanie zwierzchnika, spotkała w korytarzu wysokiego, pięknego szatyna, promieniejącego młodzieńczą, dziwnie sympatyczną zuchwałością i siłą. Roman Królecki, zwany „pięknym Romkiem", ukłonił się jej w przelocie, trochę niedbale i podążył do pokoju maszynistek. Bronka podniosła rękę do czoła, jakby ją tam nagle coś zabolało, śniada twarz pociemniała jeszcze silniej, a czarne oczy zapłonęły jakimś ponurym ogniem namiętności. Przez chwilę stała, patrząc za Króleckim, dopóki nie zniknął za drzwiami.

— Do kogo on tam, do Stefy, czy do Kazi? — świdrowała w mózgu boląca myśl.

Dyrektor Chaniewski okazał się zupełnie z pracy Bronki zadowolony, dyktował jej prawie przez całą godzinę szybko, rzucając niekiedy jakieś wyjaśniające uwagi. Kiedy skończyła, przejrzał zapisane arkusze i rzekł krótko:

— Dobrze! — i zmierzył dziewczynę spojrzeniem stalowo-szarych oczu, patrzących zimno i przenikliwie. Bronka czuła się dziwnie nieswojo w promieniu tych źrenic, które zdawały się przenikać ją nawskróś, same nic ze swoich tajemnic nie odsłaniając.

Po chwili dodał:

— Będzie pani codziennie przychodziła do mojego gabinetu o tej godzinie. Będę miał w tym tygodniu dużo do roboty. Proszę sobie odpowiednio do tego czas uregulować.

Mówił szybko, stanowczo, tonem człowieka, który zwykł rozkazywać i nie ma czasu do stracenia.

— Dobrze panie dyrektorze, czy mogę już odejść?

— Tak jest. Jest pani już wolna. Aha... jeszcze jedno...

Przesunął białą, wypieszczoną ręką po swej starannie ufryzowanej, zlekka już łysiejącej głowie.

I spuścił nagle oczy, jakby nie chciał, aby mu coś z nich wyczytano.

— A teraz proszę poprosić do mnie jeszcze pannę Łączkównę.

Julian Woźniewicz stał na chodniku przed gmachem, w którym mieściły się biura zakładu i czekał. Padał dokuczliwy, zimny, drobny deszczyk jesienny, palto i kapelusz przenikały wilgocią, dreszcz kilkakrotnie wstrząsnął wątłem ciałem młodego urzędnika. Ale nie odchodził, czekał i czekał i zdecydowany był tak czekać, choćby przez całą wieczność.

Zegar na wieży bił już godzinę drugą, kiedy ukazała się wreszcie Stefa Łączkówna.

— A pan tu czego?

— Czekam na panią.

— Także pomysł! A parasola pan naturalnie nie ma. Z pana to także pociecha!

— Panno Stefo... panno Stefo...

— Cóż pan myśli, że ja niewiem jak mi na imię? No zawołaj pan dryndę bo nie myślę piechotą wlec się po tem błocie.

Julian poskoczył ku stacyi dorożek i za chwilę sprowadził dorożkę.

— Brrr, taka odrapana buda! Ja powinnam jeździć tylko automobilem.

— O gdybym mógł...

— Ej, cobyś pan tem mógł. Na tramwaje przez miesiąc nie starczy! Nie pakuj się tylko ze mną do dorożki bo to nie wypada, dowidzenia!

Po twarzy mężczyzny przebiegła chmura, zmarszczył brwi w sposób świadczący, że i ten łagodny człowiek może się rozgniewać, a nawet być strasznym w tym gniewie.

Spostrzegła to odrazu Stefa i niechcąc przeciągać struny pochyliła ku niemu głowę miękkim pieściwym ruchem.

— Nie trzeba się gniewać panie Julku na mnie. To doprawdy nie wypada, żebym ja tak z panem w dorożce... Pan to sam rozumie. No pa! pa!... Dowidzenia, panie Juleczku...

Rozjaśnił się w jednej chwili jakby mu pomimo zachmurzonego nieba listopadowego wszystkie promienie słońca spłynęły na twarz.

— Naturalnie, że pani ma racyę a ja jestem jestem głupiec!... pani ma zawsze racyę!

— No myślę, że mam racyę — zaśmiała się Stefa chowając się pod budę dorożki, aby nie przemoknąć.

Julian zapłacił z góry dorożkarzowi, rzucił mu adres mieszkania Stefy, a sam powlókł się pieszo w stronę domu. Deszcz padał coraz silniejszy, palto Woźniewicza — wiatrem zresztą podszyte stawało się z powodu nasycenia wilgocią nieznośnie ciężkie, woda chlupała w jednym zamało uszczelnionym bucie, z kapelusza spływały strumyczki na twarz i szyję.

Matka, kiedy mu otworzyła drzwi, załamała ręce.

— Chłopcze — zmiłuj się jak ty wyglądasz!... przeziębisz się!... gdzie ty tak długo siedzisz?... chodź się natychmiast przebrać bo się przeziębisz z pewnością!...

W kwadrans później Julian przebrany już w suche ubranie zasiadł do odgrzanego obiadu. Matka i siostra jadły już pierwej, ale dotrzymywały mu towarzystwa przy stole.

— Cóż słychać w biurze?

— Mamy nowego dyrektora. Chaniewski się nazywa.

— Chaniewski? poczekaj-no... Wiesz ty, że to nasz krewny.

— Julian machnął ręką.

Ciąg dalszy nastąpi.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM II.

— Zasnęła. — dodał patrząc na Isaacsona.

— Jak pan sobie życzy — odparł obojętnie.

— Myślę, że potem co zaszło, to byłoby lepiej.

Isaacson spojrzał wokoło na leżących Nubijczyków, na Ibrahima i Hassana, stojących w kącie w postawach pełnych uszanowania, lecz patrzących z zaciekawieniem.

— Możemy wejść tutaj — rzekł Hartley.

Przeszli pod arabskim napisem do pierwszego salonu Lonlii. Wchodząc do niego Isaacson instynktownie spojrzał na drzwi, za któremi gdzieś leżał Nigel.

Będzie spał kilka godzin — rzekł Hartley zauważywszy to spojrzenie. — Siadajmy. Nie zrozumiałem dokładnie... to jest... nie wiem, czy pojąłem pańską myśl — zaczął patrząc na Isaacsona i przenosząc wzrok na swoje buty.

— Moją myśl?

— Tak... o tej chorobie.

— Zdawało mi się, że pan uważa konsylium za niepotrzebne.

— Formalne konsylium... tak. Ale proszę nie myśleć, że nie cenię lekarskiej rady. A wiem, że pańska rada będzie dobrą.

Isaacson nic na to nie odrzekł. Żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy.

— Faktem jest... że pan zranił Mrs. Armine. Jest przekonaną, że pan pogardza jej poświęceniem.

— Nie chciałbym tego uczynić.

— Wiem, ale zawsze...

Wyjął chustkę i dotknął się nią ust i czoła.

— Jest niezrównaną! - rzekł — ciągle przy nim bez wypoczynku dniem i nocą.

— A jej pokojowa? Czy nie mogłaby jej pomódz?

— Pokojowa? Jaka pokojowa?

— Jej francuska pokojowa.

Uśmiech współczucia poruszył kąciki ust młodego człowieka.

— Nie ma żadnej. Odprawiła ją, żeby mu zrobić przyjemność. Oh, mogę pana zapewnić, że nie wszystko jest mlekiem i miodem dla Mrs. Armine.

— I pokojowa nie wróciła? wcale już nie wróciła?

— Rozumie się, że nie. Pan jej tak bardzo nie rozumie — Mrs. Armine.

Isaacson milczał.

— Oto właśnie, co spowodowało to wszystko — ciągnął Hartley. — Nie byłbym się nigdy sprzeciwił konsylium, gdyby do tego przyszło w sposób naturalny. Ale żaden lekarz... pan się wyraził bardzo poważnie o tym wypadku.

— I bardzo poważnie o nim myślę.

— Ja także. — I doktór Hartley ściągnął usta — Odrazu wiedziałem, że to nie żarty.

Isaacson się nie odzywał.

— Mówię, że widziałem to odrazu.

— Nie dziwię się.

Nastąpiła przerwa, w czasie której starszy lekarz uczuł, że młody był coraz więcej nieswój.

— Prosze mi wybaczyć, że to powiem, doktorze Isaacson, ale pan nie rozumie kobiet — rzekł wreszcie Hartley. — Pan nie wie, jak z niemi należy postępować.

— Być może — rzekł Isaacson z pozorną pokorą i prostotą.

Dr. Hartley wydawał się być swobodniejszym. Coś z jego pewności siebie wróciło.

— Nie — rzekł. — Doprawdy! A muszę powiedzieć... pan mi wybaczy?

— Ależ naturalnie.

— Że miałem zawsze to przekonanie, że w życiu to połowa zwycięstwa.

— Znajomość, jak postępować z kobietami?

— Właśnie.

— Może pan ma słuszność.

— Spojrzał na młodego człowieka jakby z podziwem.

Dr. Hartley się rozpromienił.

— Cieszę się, że pan tak myśli. A teraz, kobieta, jak Mrs. Armine, piękna, podziwiana kobieta, wymaga pewnych względów, a pan ich jej tak mało okazuje.

— Być może.

— Jest kobietą z sercem. Przekonałem się o tem. — Zatrzymał się z sentymentalnym wyrazem i ciągnął dalej:

— Przekonałem się o tem. Lecz jest trochę kapryśną. Trzeba wiedzieć, jak do niej się wziąć. Mogę uczynić z nią wszystko.

Poprawił swój różowy krawat i ociągnął różową skarpetkę.

— A jej mąż — zapytał Isaacson jakby od niechcenia. — Czy pan znajduje, że jest przykrym?

— Mówiąc między nami... bardzo.

— To źle.

— Obawiam się, że ją zamęcza, pomimo, że jest jej zupełnie oddany. A ona to prawdziwy anioł dla niego.

— Ciężkie ma życie.

— Bardzo jej współczuję. Naturalnie nie mówiła mi o niczem. Jest zanadto prawą. Lecz umiem czytać między liniami. Proszę mi powiedzieć, czy pan myśli, że z nim bardzo źle?

— „Bardzo".

— Isaacson powiedział to bez uczucia, jak gdyby tylko z lekarskiego stanowiska.

— Pan nie... ah... pan z pewnością nie myśli, żeby był w niebezpieczeństwie?

Isaacson lekko wzruszył ramionami.

— Ale... hm... ale co do tego porażenia słonecem? Jeżeli to nie porażenie...

— Hartley oczekiwał, że mu Isaacson przerwie, lecz on milczał.

— Jeżeli to nie samo tylko porażenie słoncem, pytanie, co to jest właściwie?

Isaacson patrzał na niego w milczeniu.

— Czy pan wyrobił sobie o tem zdanie? — wreszcie Hartley.

— Musiałbym przedtem obserwować chorobę chociażby jeden, albo dwa dni.

— No tak, ale... nie formalnie... co pan o tem myśli? Co pan chciał powiedzieć na pokładzie, mówiąc, że jeżeli wielka ostrożność nie zostanie zachowana... lekarska opinia może być... może być... zrujnowana. — Zrujnowana jest bardzo silnem wyrażeniem. —

Egoista był widocznie zaalarmowany.

— A następnie pan powiedział, że bardzo prawdopodobnie będę żałował, że zostałem w to wszystko wmięszany. To było znowu coś innego.

Isaacson patrzał na dół zamyślony.

— Nie zrozumiałem i nie rozumię, co to miało znaczyć.

— Doktorze Hartley, nie mogę wiele powiedzieć. Lekarz cieszący się jaką taką opinią i który jest znany w szerokich kołach musi się mieć na ostrożności. Nie ja jestem ordynującym lekarzem. Gdyby tak było, rzecz przedstawiałaby się inaczej. Mógłym sobie wyrobić zdanie, albo i nie. W każdym razie nie mogę go wyjawić. Lecz jestem starszym od pana. Mam dużo doświadczenia i przykro by mi było widzieć wybijającego się młodego lekarza w bardzo niemiłej sytuacyi.

— Niemiłej sytuacyi?

Isaacson skłonił poważnie głowę.

— Mrs. Armine może przypisywać tę chorobę porażeniu słonecznemu, lecz może się mylić. Przyczyna choroby może być zupełnie inną i sądzę, że tak jest.

— Ale jaka? Jaka?

— To trzeba znaleźć. Pan jest tutaj, żeby ją znaleźć.

— Ja... rzeczywiście myślę, że konsylium... Zawahał się.

— Lecz tutaj wchodzi w grę to, że pana tak nienawidzi! — zakończył naiwnie.

Isaacson wstał.

— Jeżeli Mr. Armine nagle się pogorszy...

— Oh, ale...

— Jeżeli umrze i okaże się, przyczyna choroby nie została odkrytą przez ordynującego lekarza i że konsylium z człowiekiem — proszę mi wybaczyć — tak znanym jak ja, zostało odrzucone... — no, to nie będzie dla pana dobrze.

— Na Boga — zawołał młody człowiek zrywając się gwałtownie — Ale... proszę mi powiedzieć czy pan przypuszcza, co to być może.

— O ile nie będzie formalnego konsylium, muszę zachować pod tym względem milczenie.

Dr. Hartley otarł czoło chustką.

— Chciałbym... żeby... pan był w lepszych stosunkach z Mrs. Armine — rzekł. — Byłbym urządował spotkać pana na konsylium. To byłoby rzeczywiście lepiej, daleko lepiej.

— Tak sądzę. Często trzeba dwóch mózgów pracujących razem dla rozplątania zawiłej kwestyi.

— Istotnie! Istotnie!

— Zatrzymałem się trochę niżej pod Edfu. Mogę nawet się zbliżyć.

— Rozumie się, że gdybym chciał zasięgnąć czyjegoś zdania...

— Ma pan zupełne prawo.

— Skorzystam z niego.

— Kobiety nawet najlepsze, nie zawsze rozumieją, tak jak my grozy położenia.

— I ja tak myślę.

— A jeżeli będzie gorzej... — rzekł Isaacson poważnie i prawie uroczyście pozwalając sobie tym razem na lekkie okazanie prawdziwego swego uczucia.

— Oh, ależ... czy pan myśli, że to prawdopodobne?

Isaacson utkwił oczy w Hartleya.

— Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

— Cokolwiek będzie chciała, albo mówiła, zaraz pana zawezwę. Może później będzie mi dziękowała.

— Kobiety podziwiają mężczyzn, którzy postępują ze stanowczością.

— Prawda, podziwiają.

— Myślę, że i pan będzie wdzięczny... później.

— Będzie więc tak: wieczorem zawezwę pana na konsylium. Jak tylko chory się obudzi i zobaczę się z nim, będę nalegał, żeby pana zawezwać. Nie chcę ponosić sam całej odpowiedzialności. I jak pan słusznie mówi, będzie zadowolona później i będzie podziwiała moją... naszą stanowczość.

Rozstali się zupełnie inaczej, niż się spotkali.

Czy los Nigla zależał od wyniku starcia pomiędzy ambicyą, a zmysłowością młodego amerykanina? Isaacson nie raczył nawet nazywać to walką.

Postarzała twarz Mrs. Armine będzie w niej odgrywała dużą rolę. Isaacson liczył na to z bezlitosną, prawie kobiecą intuicyą.

— Wzrok jego przedarł się przez welon i spostrzegł, że „Indyjskie lato"... powtórna młodość zaczęła więdnąć.

XVI.

Wróciwszy na Fatmę, Isaacson uczuł się znużonym. Nerwy miał naprężone. Kazał sobie zaraz podać herbatę.

— Możesz ją przynieść tutaj — rzekł do Hassana.

Kiedy Hassan ją przyniósł, Isaacson dał mu papierosa i zamiast go odprawić, zaczął z nim rozmawiać, a raczej pozwolił mu gadać.

— Jak się nazywa ten wysoki chłopiec, który nas powitał na Lonlii?

— Ibrahim, mój panie.

Ibrahim... wymieniony w liście Nigla jako ten, który pośredniczył w wypożyczeniu Lonlii? Isaacson zachęcił Hassana do mówienia, podczas gdy sam milczał, popijając herbatę z cytryną.

Okazało się, że Ibrahim był wielkim przyjacielem Hassana, a właściwie Hassan był jego najlepszym przyjacielem. Ibrahim i Hassan byli jak bracia. I Hassan kochał Ibrahima jak swego ojca, a Ibrahim myślał o Hassanie z takim szacunkiem i podziwem, jakimi obdarzał swą matkę.

Isaacson czuł ucisk w skroniach, a jednak słuchał i zachęcał i zdawał sobie doskonale sprawę w jakim celu to czyni.

Z ust Hassana słowa płynęły gwałtownym potokiem. Przedstawiał swoje własne i Ibrahima sprawy. Okazało się z tego, że w obecnej chwili Ibrahim nie był zadowolony, nie był szczęśliwy na Lonlii. Dlaczego? pytał Isaacson. Przyczyną tego było, że został usunięty... on, który był taki życzliwy, potrzebny i zdolny ponad wszystkich Egipcyan, a nawet wszystkich ludzi. Ręce Hassana gestykulowały gwałtownie, nawet tragicznie podczas gdy mówił. Wyszczerzał zęby i starał się płonąć furyą.

— A kto uczynił tę potworną rzecz? — wtrącił Isaacson.

— Hanza — on, który się modlił i który za pośrednictwem Ibrahima dostałsię na służbę do my lord Arminigel. Szlachetność i wspaniałomyślność Ibrahima dały Hanzie możność tej zdrady.

— A zatem Ibrahim był dawniej na służbie u Armine'ów?

Bardzo prędko Isaacson dowiedział się, że Mohammed „najlepszy poganiacz osłów w Luksorze został pożegnany, żeby uczynić miejsce Hanzie, podczas gdy „my lord Arminigel" pojechał do Fayum i że teraz Hanza zajął miejsce Ibrahima, jako osobisty służący „my lord".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Urzędowe wakacye skończyły się zatem, a raczej skończą się za dni kilka, kto więc dotąd na świeże powietrze nie wyjechał, już tego zapewne nie uczyni, ale niech się pocieszy, że nic na tem nie stracił, owszem zyskał, oszczędził sobie bowiem kłopotów, zmartwień i niepotrzebnych wydatków. Kronikarz nie ruszył się przez ten czas z Krakowa i jest z tego najzupełniej zadowolony, a przyjemność tę odkłada sobie bodajby na rok przyszły. Wybierał się wprawdzie na światowy zjazd dziennikarski, ale zrezygnował z zamiaru, ponieważ odbywa się w Honolulu, a droga tam zbyt daleka i nadto kosztowna, by sobie na nią mogła pozwolić dziurawa dziennikarska kieszeń.

W każdym razie kończy wakacye, których nie miał, w bardzo podniosłym nastroju, choćby tylko z tego powodu, iż obydwie jego przepowiednie z poprzedniego numeru spełniły się co do joty. Pierwsza z nich dotyczyła sprawy górnośląskiej, którą porównał do węża morskiego i jak się obecnie pokazuje, bynajmniej się nie pomylił, przeciąga się bowiem w nieskończoność. I druga, odnosząca się do pogody, nie zawiodła. Prosiliśmy o deszcz, mamy go obecnie w obfitości, choć używając aptekarskiego wyrażenia, „co godzina po łyżce". O ile pada on nocną porą, nikt sobie z tego nic nie robi, o ile natomiast przypada na dzień, drażni zwłaszcza tych, którzy mają dziurawe buty, a zmuszeni są do wyjścia na ulicę. Zadowolony jest natomiast magistrat, iż miasto jest należycie skropione, a dziennikom, wrogo wobec niego usposobionym odpadł jeden z powodów narzekania na miejską gospodarkę. Czy się to komu podoba, czy nie, niebieskiego referenta od pogody nic nie obchodzi, on wie, iż ma przydzielony kontygent deszczu i że musi go wylać, w oznaczonym czasie. Pod tym względem sumienniejszym jest od swych warszawskich kolegów, naprzykład z aprowizacyi, która, jak się dowiedzieliśmy z ust wiceprezydenta Bobrowskiego, winną jest Krakowowi przeszło sto wagonów zboża. Gdy się Kraków z pod władzy Małopolskiej Rady Aprowizacyjnej dostał bezpośrednio pod opiekuńcze skrzydła ministerstwa, obiecywano, że skończy się nasza mizerya i głodowanie, a jedzenia będziemy mieli tyle, iż pochorujemy się z obżarstwa, co panu fizykowi, mającemu nasze zdrowie w swej pieczy niemało sprawiło kłopotu i stale spędzało sen z powiek. Ale panowie z warszawskiej aprowizacyi przyszli mu z pomocą, wychodząc z założenia, że ludność miasta Krakowa, na ogół bardzo klerykalnie usposobiona, może żyć słowem Bożem, a nie samym tylko chlebem, który jako zawierający różne domieszki, nie zawsze dodatnio oddziaływa na zdrowie, a ma tę tylko zaletę, iż długo leży w żołądku i ani rusz się go pozbyć bez uciekania się do pomocy „łacińskiej kuchni", to jest apteki. A chyba każdemu wiadomo, ile dziś kosztuje wejście z nią w bliższe stosunki.

Sprawą górnośląską nie można było zająć się w poprzedniej kronice, w chwili bowiem, gdy z kałamarza przelewała się na papier, niepodobna jeszcze było przewidzieć, jaki los ją spotka. „Nasi właśni korespondenci" żywili wprawdzie złote nadzieje, że jest na najlepszej drodze do pomyślnego rozstrzygnięcia, i dawaliśmy temu głośny wyraz, zapominając tylko dodać dla nas, czy dla Niemców. Kronikarz, który nie jest tak gorąco kąpany. oświadczył natomiast, że nie jest wykluczonem, iż owemu wężowi morskiemu urośnie ogon jeszcze dłuższy, to znaczy, że znajdą się znowu powody do jej odroczenia. I tak się też stało. Polityczni geometrzy wynaleźli na Śląsku „trójkąt przemysłowy", zdaniem ich mający przypaść w całości Niemcom i on był właśnie tym sękiem, o który rozbiły się rokowania, zbliżające się już do kresu. Jak zwykle w obronie słusznych naszych praw i postanowień traktatu wersalskiego wystąpił nasz znany przyjaciel Lloyd George, za którego plecami kryją się podobno żydowscy kapitaliści z Anglii, którzy zaangażowani są poważnie w interesach górnośląskich i podziału nie dokonano, oddając sprawę do ostatecznego rzekomo rozstrzygnięcia Ligi Narodów. Bo, że ono ostatecznem nie będzie, w to nikt nie wątpi, w tem jednak sęk, iż niema już wyższego trybunału, któremu możnaby je przekazać do dalszego rozpatrywania. Czytając telegramy na drucie i bez drutu, cieszyliśmy się, że śniadanie, jakie Briand urządził dla Lloyd'a George'a, wpłynęło na tego ostatniego łagodząco i że zgodzi się z zapatrywaniami swego francuskiego kolegi, tymczasem pokazało się, że radość była przedwczesna, gdyż Lloyd George złagodniał wprawdzie chwilowo pod wrażeniem owego przyjęcia, ale wnet potem powrócił do swej pierwotnej roli i na podstawie własnych badań geograficznych i historycznych obstaje nadal przy swem pierwotnem twierdzeniu, że Górny Śląsk jest niemieckim, Niemcom też oddać go należy w całości. Dla przyzwoitości tylko przekazano Lidze Narodów sprawę górnośląską, jej zadaniem będzie wynalezieniem dalszych kruczków, aby nie dopuścić do tak rychłego definitywnego jej załatwienia.

Kto chce psa uderzyć, kij znajdzie. Tym kijem był Lloyda George de Valera, który gwałtownie żądał widzenia się z angielskim premierem, a ten, skorzystał z wezwania i wycofał się, bez niego zaś trudno dyskutować o losach Górnego Śląska.

Liga Narodów ma się podobno zebrać jeszcze w końcu sierpnia, ponieważ zaś w skład jej wchodzą przedstawiciele Brazylii, Argentyny, Ekwadoru, Peru, Chin itd., więc ludzie ze sprawą górnośląską *doskonale obznajomieni*, można się spodziewać, że zażądają powołania nowych rzeczoznawców ze swojej strony i odroczenia rozstrzygnięcia aż do chwili, gdy wszyscy członkowie Ligi władać będą biegle językiem esperanto, mającym wedle uchwał wszechświatowego kongresu w Pradze stać się jej urzędowym językiem.

Wężowi morskiemu przyrośnie tymczasem nowy kawałek ogona, a „trójkąt przemysłowy" zmieni się może na czworobok, którego podział nie nastręczy już tyle trudności.

Ostatnie telegramy z jakimi spotykaliśmy się w pismach codziennych oświadczają, że Liga Narodów ma się zebrać w najbliższym czasie w Paryżu celem zajęcia się sprawą Górnego Śląska, przedyskutuje ją, a potem prawdopodobnie odda do rozstrzygnięcia komisyi, złożonej z najwybitniejszych prawników lub też arbitrowi. Wężowi morskiemu przedłuży się zatem ogon znowu o kilkadziesiąt metrów. Z tonu, w jakim pisma zagraniczne omawiają kwestyę górnośląską, można być prawie pewnym, że niczego dobrego spodziewać się nie możemy, choć Briand jest ciągle zdania, że Śląsk należy podzielić w myśl postanowień traktatu wersalskiego i według życzenia wyrażonego przez ludność, jeśli problem samostanowienia ludu o swym losie nie ma być kpinami, obliczonemi tylko na mydlenie świata oczu, że zadość dzieje się sprawiedliwości. Lud górnośląski wypowiedział niedwuznacznie swoje zdanie, ale Lloyd George chciałby zastosować w tym wypadku przysłowie: „Dziad swoje, a baba swoje".

Z dyskusyi górnośląskiej w Radzie Najwyższej dowiedzieliśmy się z jednej strony, że „trójkąt przemysłowy" jest niepodzielny, z drugiej, że podzielić go można, a każdy z wybitniejszych polityków przedstawiał swoją linię podziału. Jeden tylko Lloyd George nie bawi się w żadne linie, bo jego zdaniem, cały Śląsk należy przyznać Niemcom, gdyż tego wymagają interesy... angielskie. Jego stanowisko w sprawie górnośląskiej zyskało aprobatę angielskiego parlamentu, który radził Francyi, aby pogodziła się z Niemcami. Ponieważ zaś opinia francuska popiera znów stanowisko Brianda, dalszy tok sprawy górnośląskiej i jej rozstrzygnięcie będzie pojedynkiem między tymi dwoma politykami. Ten z nich, który przegra, będzie musiał wysnuć z tego dla siebie dalsze konsekwencye.

Motywy poruszane na posiedzeniach Rady Najwyższej, były nieraz rozczulające. I tak naprzykład ktoś tam powiedział, że Polska, tracąc okręg przemysłowy, a otrzymując powiaty rybnicki i pszczyński, robi prawdziwie kokosowy interes, gdyż pokłady węgla na przyznanych jej terenach są prawie nienaruszone, gdy natomiast na obszarze, jaki ma przypaść Niemcom, starczą najwyżej na lat pięćdziesiąt. Dziwić się zatem wypada, że ci ostatni tak się o to ubijają, aby otrzymać te „resztki". Lloyd George jest pewny siebie, ma bowiem swoje zasady, choć de Valera powiedział mu w oczy, że jego i rządu angielskiego zasadą jest, iż nie mają żadnych zasad.

Czekamy zatem cierpliwie na to, kiedy i co powie Liga Narodów, obyśmy jednak byli fałszywymi prorokami, jak dziś bowiem rzeczy stoją, wydaje się nam, że i od niej dostaniemy... figę. W każdym razie lepiej jest być już dziś przygotowanym na najgorsze i tymczasem, póki pora, dokładać starań aby temu zapobiedz, niż roić przedwcześnie złote sny, cieszyć się nadzieją gruszek na wierzbie, wyczekiwać z założonemi rękoma, a potem spotkać się z fiaskiem.

Ostatnia wakacyjna kronika jest zatem poważniejszą, niż miała nią być, gdyż i kronikarz idąc za ogólnem zdaniem, był prawie pewny, że Górny Śląsk mamy już w kieszeni. Pokazało się, że tak nie jest i, że dużo jeszcze wody upłynie w Rudawie, nim pozbędziemy się tej bolączki, którą radby zoperował Lloyd George, choć nie jest z zawodu lekarzem.

Skoro zatem obecna kronika jest utrzymaną w tonie seryo, nie zmienimy go i w dalszym ciągu, zwłaszcza, że kwestya, jaką mamy poruszyć, jest również bardzo poważna. Otóż od następnego numeru począwszy *Nowości Illustrowane* podrożeć muszą na czterdzieści marek za egzemplarz. Podwyżka ta spowodowaną została nowem podniesieniem płac personalu drukarni o dwadzieścia siedm procent, podrożeniem papieru (jedno z następstw nowowprowadzonego wolnego handlu!...), chemikaliów oraz opłat pocztowych i kolejowych, nie mówiąc już o gazie i elektryczności. Organizacye zawodowe, paskarze i rząd podali sobie zgodnie dłonie do zawrotnego tańca drożyźnianego, który nie wiadomo, kiedy ustanie. Wobec tej sytuacyi, jaka się wytworzyła Wydawnictwo jest bezsilne i chcąc nie ustawać w pracy, musi szukać sposobów pokrycia zwiększających się z dniem każdym wydatków, rosnących, jak grzyby po deszczu.

Powie ktoś: „To rozbój na gładkiej drodze!...", ale zapewne wnet cofnie swe słowa, jeśli zważy, że, gdyby *Nowości Illustrowane* podrożały w tym stosunku, co naprzykład niektóre pisma codzienne, które z trzech centów podskoczyły na dziesięć marek, powinnyby dziś kosztować pięćdziesiąt trzy marki i 33 fenigi za egzemplarz. Obdzieramy bliźnich ze skóry, ale bardzo oględnie, to jest o tyle tylko, aby módz związać koniec z końcem, to jest pokryć wzmożone wydatki. Porównując z ołówkiem w ręku wzrost cen *Nowości Illustrowanych* z różnymi artykułami, dochodzimy do przekonania, że właściwie kosztują one siedm dawnych halerzy w stosunku do zapałek, sześć halerzy w stosunku do dawnej ceny kieliszka wódki. Niechaj zatem P. T. Czytelnicy zechcą to przyjąć do swej łaskawej wiadomości i nie odmawiają nam swojego poparcia, równocześnie jednak niech będą na to przygotowani, że za jaki miesiąc najdalej podniosą się znów płace personalu drukarni, klisiarni i t. d., podrożeje w dalszym ciągu gaz i elektryczność, papier i chemikalia, wobec czego trzeba będzie znowu zaapelować do ich kieszeni. Nadto zbliża się zima, a opał doszedł takich cen, iż magistrat nosi się z myślą drobnych węglarzy, jako handlarzy drogich kamieni zaliczyć do cechu jubilerów i złotników. Wiemy o tem bardzo dobrze, że podniesienie cen za nasze pismo daje się odczuć najdotkliwiej inteligentom, to jest tym, którzy dziś tworzą właściwy proletaryat, niestety, innego punktu wyjścia nie znajdujemy.

Stosunki, jakie obecnie przeżywać nam przychodzi, są tego rodzaju, iż o nich przedtem nawet filozofom się nie śniło. Zadają one kłam przysłowiu, iż „nic nowego pod słońcem", gdyż podobnie do góry nogami wywróconego porządku społecznego jeszcze nigdy nie było. Sprawdzają się słowa Pisma świętego, iż „ci, którzy byli ostatnimi, będą pierwszymi..." i odwrotnie, bez pomocy Lenina i Trockiego bolszewizujemy się na łeb i na szyję. Praca umysłowa i ci, którzy się nią zajmują, zeszli na drugi plan, na pierwszy wybili się natomiast ci, którym tylko ręce dają zarobek, a to odbija się fatalnie na ogólnych stosunkach. Tak zwany „robociarz", czyli człowiek pracujący fizycznie, to dziś pan całą gębą, pracujący umysłowo, dziad ostatniego rzędu, którego nie stać nawet na to, aby sobie kupić lirę i pójść z nią pod kościół. Boli nas też serce, ilekroć musimy zaapelować do ich kieszeni, cóż jednak robić, skoro tylko oni są wstanie uznać, że nie tylko o swym żołądku powinien człowiek pamiętać, ale i o swym duchu i starać się dlań o zajęcie i rozrywkę. Ku temu celowi służą właśnie *Nowości Illustrowane* i dlatego dokładamy wszelkich starań, by to wydawnictwo pomimo wzrastających ciągle trudności utrzymać na wysokości zadania, nie myśląc bynajmniej o jakichś materyalnych dla siebie z tego źródła korzyściach. Jesteśmy zadowoleni, jeśli dochody w miesiącu pokryją wydatki, a stać się to może jedynie przy poparciu inteligentnego ogółu, na tych bowiem, którzy myślą tylko o tem, aby dogodzić swemu cielsku i kabzę należycie markami wyładować, wszystko jedno w sposób uczciwy czy nie, liczyć nie możemy i nigdyśmy nie liczyli.

Ogólna drożyzna, jaka rozszalała w naszym kraju, nie ominęła ani jednego artykułu, wdarła się w każdą dziedzinę życia, nie mogła zatem oszczędzić wydawnictw pism, szczególnie zaś takich, jak *Nowości Illustrowane*, które niejedno z swych zapotrzebowań zmuszone są pokrywać za granicą, nie mogąc tego uczynić w kraju. Zaprowadzenie wolnego handlu na poprawienie sytuacyi bynajmniej nie wpłynęło, owszem, przyczyniło się do jej pogorszenia, gdyż ten i ów zrozumiał go w ten sposób, iż odtąd wolno bezkarnie obdzierać bliźnich ze skóry. Urząd walki z lichwą istnieje jeszcze wprawdzie, ale przeznaczony na zwinięcie, przygotowuje się zwolna do likwidacyi wraz z całem Ministerstwem Aprowizacyi, a jego funkcyonaryusze myślą raczej o zapewnieniu sobie przyszłości, a nie o ściganiu paskarzy i lichwiarzy, wiedząc nadto dobrze o tem, iż nic im złego nie zrobią, jest to bowiem hydra, której w momencie odrasta ucięta głowa.

Sprawie wolnego handlu i drożyzny poświęcimy jedną z najbliższych kronik. Kronikarz stał się obecnie zaciekłym ekonomistą i na gwałt zbiera materyały do wiekopomnego dzieła: „O dobroczynnych skutkach światowej wojny".

w drugim Anglia i Włochy, a choć przysłowie powiada, „że gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta“, a tym trzecim jesteśmy my, z tego wszystkiego co dotąd w tej sprawie zdziałano, można się spodziewać, że właśnie ten „trzeci“ weźmie porządnie w skórę, a skorzysta czwarty, to jest Niemcy.

Posiedzenie Rady Najwyższej rozpoczęło się przy Qai d'Orsai wobec przedstawicieli wszystkich mocarstw, sprzymierzonych, tym razem i Stanów Zjednoczonych. Na pierwszym punkcie porządku dziennego znajdowała się sprawa ewentualnego podziału Górnego Śląska między interesowanych, to jest Polskę i Niemcy. Rzeczoznawcy, którym w pierwszym rzędzie oddano głos, wypowiedzieli swe zdania co do podzielności obszaru plebiscytowego. I tu zaraz wyłoniła się pierwsza trudność, nie mogli się bowiem zgodzić na to czy obszar ten da się wogóle podzielić, ewentualnie w jaki sposób. Wytworzono tak zwany „trójkąt przemysłowy“, który wedle uznania Anglii, uzurpującej sobie w tej sprawie głos decydujący, jest niepodzielny i musi być w całości oddany Niemcom, choćby się to miało sprzeciwić najkardynalniejszym postanowieniom traktatu wersalskiego. Pokazało się, nie po raz pierwszy i zapewne nie po raz ostatni, iż sami twórcy traktatu podzielają zdanie osławionego Radka Sobelsohna, który się wyraził, że jest to świstek papieru, skazany na to, by się z nim nikt nie liczył.

Na temat tej niepodzielności rozwinęła się szeroka dyskusya, w której obie strony starały się wzajemnie przekonać, że po ich stronie jest słuszność, a gdy im się to ostatecznie nie udało, znaleziono bardzo wygodny punkt wyjścia w postaci oddania sprawy górnośląskiej Lidze Narodów celem ponownego jej rozpatrzenia i wydania swej opinii, którą w danym wypadku przyjmie Rada Najwyższa, o ile naturalnie przypadnie ona do smaku... Lloydowi George'owi. Na to rozwiązanie tymczasowe zgodzili się przedstawiciele wszystkich mocarstw sprzymierzonych, a sprawa Górnego Śląska, używając języka byłych austryackich biurokratów „dostała nowego szybera“. Jaki los czeka ją w dalszym ciągu, to przewidzieć trudno, po przejściu przez alembik Ligi Narodów ma być bowiem oddaną komisyi, złożonej z najwy-



Wakacye prezydenta Hardinga: Prez. Harding podczas lektury gazet. Na trawniku wypoczywa T. Edison.

bitniejszych prawników, ewentualnie jakiemuś arbitrowi do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Na razie udało się uniknąć konfliktu na tem tle między Anglią a Francyą, co nie jest jednak wykluczone w niedalekiej przyszłości, chyba, że będzie się ją stale odsyłać do zbadania raz tu, to znowu tam, aż świat o niej zapomni, a Niemcy zabiorą sobie Górny Śląsk, jak tego pragnie Lloyd George i jego przyjaciele, mający w tem swój osobisty interes.

Mapka, dołączona do niniejszego artykułu podaje według źródeł francuskich przebieg rozmaitych linii podziału spornego terenu na Górnym Śląsku.

Zgon wybitnej działaczki.

(Do illustracyi na str. 4).

W dniu 17. sierpnia b. r. zmarła w Krakowie po dłuższej, ciężkiej słabości, Marya z Koplewskich 1.° *voto* Juszkiewiczowa 2.° Piłsudska, małżonka Naczelnika Państwa.

Sp. Marya Piłsudska, urodzona w r. 1865 w Wilnie, po ukończeniu gimnazyum w rodzinnem mieście, wyjechała do Petersburga na dalsze studya na kursa Bestużewa. Biorąc żywy udział w życiu tamtejszej kolonii polskiej, zetknęła się tutaj z wielu wybitnymi działaczami, tutaj też poznała i poślubiła inżyniera Juszkiewicza, z którym jednak żyła bardzo krótko, poczem z maleńką córeczką przeniosła się z powrotem do Wilna i osiadła przy matce. W rodzinnem mieście nawiązała stosunki z członkami byłej redakcyi warszawskiego *Głosu*, do których zbliżyły ją silne uczucia patryotyczne i tradycye narodowe. Równocześnie poznała Józefa Piłsudskiego, co ją zbliżyło do stronnictwa P. P. S. Wszedłszy z nim w związki małżeńskie podzieliła wiernie jego społeczne zapatrywania, przejęła się jego politycznym światopoglądem i pracowała z nim gorliwie i znosząc mężnie gorycze konspiracyjnego żywota tak w kraju, jak i na emigracyi w Londynie, po zaaresztowaniu obojga w lokalu tajnej drukarni *Robotnika* w Łodzi, która mieściła się w ich mieszkaniu, po uwolnieniu swem ś. p. Marya wzięła bardzo czynny udział w wyzwoleniu Józefa Piłsudskiego ze Szpitala więziennego w Petersburgu. Po ucieczce swej do Galicyi, oddał się Piłsudski planom przygotowania powstania przeciw Rosyi, w czem znów gorliwie pomagała mu małżonka, prowadząc jednocześnie bez służącej gospodarstwo domowe w skromnem ich mieszkanku w Krakowie, na Śląsku. Czas pobytu w Krakowie, który całem sercem ukochała, stale jednak tęskniąc do rodzinnego Wilna, to okres jej najbujniejszej działalności społecznej. W latach 1904-10 na krakowskim gruncie zebrali się najwybitniejsi rewolucyoniści z Królestwa Polskiego, którym udało się ujść rąk carskich siepaczy, tutaj też prowadzono bardzo żywą robotę konspiracyjną i stąd kierowano ruchem rewolucyjnym w Królestwie. Jednym z głównych i najgorliwszych działaczy był Józef Piłsudski i jego małżonka. Po wybuchu wojny światowej śp. Marya Piłsudska brała żywy udział w pracach, związanych z działalnością legionów, a opieka jaką otaczała legionistów, pozostała na zawsze we wdzięcznej pamięci tych, którzy doznali jej iście macierzyńskiej pieczołowitości.

S. p. Marya Piłsudska odznaczała się niezwykłemi zaletami serca i umysłu. Gorąca patryotka cel życia swego widziała w zwalczaniu wrogów, gnębiących naszą Ojczyznę i to dodawało jej siły do pracy w tych ciężkich przeżyciach, jakie stały się jej udziałem. Nadzwyczaj inteligentna i wysoko wykształcona, o ujmującym wszystkich sposobie obejścia, pozostawiła u wszystkich tych, którzy ją bliżej znali, niezatarte wspomnienie. Pogoda jej umysłu udzielała się i otoczeniu, dopiero przykre przeżycia, datujące się od chwili śmierci ukochanej swej córeczki wpłynęły na nią przygnębiająco, lecz nie złamały tego silnego ducha, który wierny pozostał do ostatniej chwili swemu ideałowi — niepodległej Ojczyźnie.

Zmarła w Krakowie na zapalenie płuc, które wywiązało się na tle choroby sercowej. Pozostawiła po sobie niekłamany żal i serdeczne wspomnienie patryotki, żarliwie kraj swój kochającej.

Wakacye prezydenta Hardinga.

Kierownik rządów Stanów Zjednoczonych, najpotężniejszego dziś, jeśli nie militarnie, to ekonomicznie, mocarstwa na świecie, spędza czas wakacyjny w sposób bardzo prymitywny, lecz przyjemny, jakiego nie mogłaby mu pozazdrościć niejedna z głów koronowanych, nawet i podczas letnich wywczasów krępowana bezmyślnymi przepisami etykiety dworskiej. Po ciężkich i trudnych obowiązkach, jakie prezydent spełnia nader gorliwie, należał mu się słuszny odpoczynek, używa go też pełną piersią, co jednak bynajmniej nie wyklucza, iż bacznie śledzi bieg wypadków politycznych i pozostaje w stałym kontakcie z swym zastępcą w Waszyngtonie, informującym go dokładnie o wszystkiem, co się dzieje w politycznym świecie. Nie wpłynęła nań bynajmniej przygnębiająco wiadomość, iż siedmdziesięciokilkoletni jego ojciec zapragnął zakosztować znowu słodyczy pożycia małżeńskiego i poślubił swą sekretarkę, panienkę w kwiecie wieku, gdyż liczącą pięćdziesiąt dwie wiosny żywota. Aby „młodej parze“ nie mącić spokoju podczas miodowych miesięcy, wakacye swe spędza prezydent Harding w lasach rządowych w uroczej górzystej okolicy, Peektonville. Widząc go tutaj, pędzącego nieforsobliwy żywot przeciętnego mieszczucha, a nie wiedząc, kogo się ma przed sobą, nikt nie przypuściłby nawet, że ten człowiek, pokazujący się publicznie dla wygody bez surduta, to osobistość trzęsąca dziś losami obu półkul, o której względy ubiegają się wszyscy władcy całego świata, a jego goście, to ludzie o takiej sławie, jak Tomasz Edison.



Wakacye prezydenta Hardinga: Prezydent Stanów Zjednoczonych przed szałasem w lasach Peektonville, gdzie spędza czas wypoczynku. Od lewej strony siedzą, H. Ford, T. Edison prez. Harding i H. S. Firestone.

Znany również w całym świecie konstruktor i fabrykant samochodów Henryk Ford, wybudował tutaj dla użytku prezydenta i jego gości prowizoryczny szałas, gdzie ma spędzać noce, przez dzień zaś cały bawi i on i jego otoczenie na świeżem powietrzu. Jak z ryciny, zamieszczonej w naszem piśmie, mogą się czytelnicy przekonać, pogawędka, lektura dzienników i inne wakacyjne przyjemności, odbywają się pod gołem niebem, na trawniku zażywa również drzemki poobiedniej sędziwy Edison, nie obawiając się bynajmniej, aby wilgoć źle wpłynęła na jego zdrowie i stała się powodem „darcia w kościach“. Można do niego zupełnie śmiało zastosować nasze wyrażenie: „stary, ale jary“.

Tego rodzaju spędzenie wakacyi, w ścisłem tego słowa znaczeniu na łonie natury, to dopiero prawdziwy wypoczynek. Ale, aby sobie w ten sposób urządzić letnie wywczasy, na to trzeba być praktycznym Amerykaninem, choć i między nimi nie brak dziś takich, którzy naśladują Europejczyków, wytchnienia i spoczynku szukają w światowych uzdrowiskach lub miejscach kąpielowych, skąd wywożą tylko zmęczenie.



Nawiązanie stosunków Francyi z Watykanem: Nuncyusz papieski dla Francyi mons. Ceretti w towarzystwie ambasadora Francyi przy Watykanie Jonnarta.



Ofiarom czerezwyczajki: Uczestnicy uroczystości poświęcenia grobowca ofiar bolszewickiej dziczy z r. 1920 na cmentarzu w Wyszkowie pod Warszawą. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

Nawiązanie stosunków Francyi z Watykanem.

(Do illustracyi na str. 9).

Mgr. Ceretti, nuncyusz papieski we Francyi, od dwóch dni bawi już w nadsekwańskiej stolicy. Przedsiębiorczemu reporterowi „Matina" udało się interwiewować go jeszcze w „pospiesznym" Rzym - Paryż przed wyjazdem do Paryża. Mgr. Ceretti, jak przystało na wytrawnego dyplomatę, przyjął go



Śmierć twórcy odrodzonej Serbii: Król Piotr Karageorgiewicz.

grzecznie, mówił dużo o potrzebie wzajemnej dobrej woli, współdziałania, zobopólnego zaufania, lecz nie określał nic stanowczo i wyraźnie.

Jest to zresztą łatwo zrozumiałe i nie może być uważane inaczej, jak za wielki dowód taktu politycznego ze strony rzymskiego wysłannika, Mgr. Ceretti przyjeżdżając do Francyi, jako nowy nuncyusz, pierwszy po latach tylu, znajduje się na nieznanym gruncie, prawdziwej „terra ignota". Od pierwszych więc jego kroków będzie zależało wiele i stanowisko, na które zamianowała go Stolica Apostolska, musi on właściwie zawojować i ustalić osobistą zasługą.

Bardzo przystępny i uprzejmy Mgr. Ceretti, zaznaczył w swej rozmowie z przedstawicielem „Matin'a". iż celem jego będzie przedewszystkiem unikać wszelkich konfliktów z rządem francuskim. Oddawszy nieskąpe pochwały panu Jounart, ambasadorowi francuskiemu przy Watykanie, nuncyusz dodał, iż jeżeli ciało dyplomatyczne francuskie odznacza się równie dobrą wolą, jak pan Jounart, zadanie przedstawiciela Stolicy Apostolskiej w Paryżu nie będzie z pewnością ani trudnem, ani przykrem. Na dworcu liońskim w Paryżu oczekiwali na wysłannika papieskiego: kardynał Dubois, arcybiskup Paryża, Mgr. Roland Gosselin, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli kleru paryskiego i wielu księży. Po przemówieniu i krótkiej rozmowie z kardynałem Dubois, nuncyusz udał się do swej czasowej paryskiej siedziby. Jest nią piękny pałac hrabiego Mędre przy ulicy Vanesu, a więc prawie w arystokratycznej dzielnicy Paryża, St. Germain. Trudno o siedzibę bardziej wykwintnie pańską, a jednocześnie nacechowaną pewną surową powagą. Dziennikarze francuscy zauważają, że siedziba ta nadaje się do samotnych rozmyślań i pracy, ale dodają zarazem, iż Mgr. Ceretti nie będzie mógł prawdopodobnie korzystać z atmosfery odosobnienia, gdyż zadaniem jego będzie właśnie obracać się stale w kołach francuskich, dla zachowania z niemi ścisłego kontaktu, niezbędnego do wypełnienia jego trudnej i poważnej misyi, jaką powierzył mu Watykan.

Ofiarom czerezwyczajki.

Rok minął od chwili, gdy od Wschodu zagroziła nam nawała czerwonej dziczy, posuwając się w głąb kraju i dochodząc aż pod mury stolicy. O jej mury rozbiły się jej zakusy, stał się cud, podobny temu, jaki lat temu kilka wydarzył się nad Marną. Polska, dzięki męstwu i bezgranicznemu poświęceniu swych synów ocalała, hordy najeźdźców poczęły się cofać w nieładzie ku swym granicom, niszcząc po drodze wszystko w jeszcze straszniejszy sposób, niż to czyniły posuwając się naprzód, pewne zwycięstwa. Wściekłość swą wywierały na wszystkiem, co im wpadło pod rękę,

Polnischer Dank oder: „Es gibt nichts Neues unter der Sonne."

Eine Reminiszenz aus dem Jahrgang 1861 der Fliegenden Blätter.



Wahrheitsgetreue Abbildung, wie vor dreißig Jahren die Polen in Deutschland behandelt wurden.



Wahrheitsgetreues Gegenbild, wie heutzutage die Deutschen in Polen behandelt werden.

Jak Niemcy zohydzają swych nieprzyjaciół: 1) Ilustracya monachijskiego tygod. humor. *Fliegende Blättter* z r 1861, przedstawiająca gościnne przyjęcie Polaków przez Niemców po powstaniu listopadowem. 2) Jak *Fliegende Blätter* przedstawiają obecne obchodzenie się z Niemcami w Polsce.

siejąc wokoło mord i zniszczenie. I znów pokryła się polska ziemia nowemi zgliszczami, a do dawnych grobów przybyły nowe, kryjące w sobie zwłoki mężnych obrońców i niewinnych ofiar idei bolszewickiej, niosącej światu równość i wolność.

W ślad za szeregami czerwonej armii podążała „czerezwyczajka“, rozwijając na ziemiach polskich swą wolnościową działalność, polegającą na masowem mordowaniu wszystkich tych, którzy wydali się jej wrogo usposobionymi dla idei i haseł bolszewickich. Te jej ofiary zasługują na taką samą pamięć i uczczenie, jak ci, którzy z bronią w ręku padli w obronie rodzinnego kraju.

Grobami poległych zajęło się serdecznie a szczerze nasze Towarzystwo Żałobnego Krzyża, które dokłada wszelkich starań, aby te, tak licznie po całej Polsce rozsiane cmentarze wojenne doprowadzić do porządku i utrzymywać nadal w należytym stanie, chcąc bodaj w ten sposób oddać należną cześć pamięci bohaterów. Rząd, który dotąd zajmował się tą akcyą, w Towarzystwie Żałobnego Krzyża znalazł wydatną pomoc i wyrękę.

Staraniem tegoż Towarzystwa uporządkowano we Wyszkowie pod Warszawą wspólny grób ofiar najazdu bolszewickiego z r. 1920, zaopatrując go w nagrobek z odpowiednim napisem, przekazującym potomności pamięć nieszczęśliwych ofiar. Uroczyste poświęcenie grobu odbyło się w ubiegłym tygodniu w obecności prezesa Polskiego Żałobnego Krzyża p. Pniewskiego, pułkownika dra Dąbrowskiego delegata M. S. W., Głównego Urzędu do opieki nad grobami por. Jabłońskiego, naczelnika Straży ogniowej Pawłowskiego i ks. Wiktora Mieszkowskiego, prezesa miejscowego parafialnego oddziału Polskiego Żałobnego Krzyża.

W smutnym obrzędzie wzięły udział rodziny pomordowanych oraz ludność całej niemal parafii wyszkowskiej, by w ten sposób oddać cześć pamięci swych bohaterów — męczenników.



Jak Niemcy zohydzają swych nieprzyjaciół: Fotografia francuska stwierdzająca przyjazne stosunki między kolorowymi żołnierzami francuskimi, a córami Germanii. (Moguncya, 1919).

Śmierć twórcy odrodzonej Serbii

(Do illustracyi na stronie 10.).

Telegramy pism codziennych doniosły, iż w dniu 16. sierpnia b. r. zmarł w Belgradzie w siedmdziesiątym siódmym roku życia król serbski, Piotr Karageorgiewicz.

Król Piotr, to postać, która w dziejach nowoczesnej Serbii zajmie bardzo wybitne stanowisko, jako właściwy twórca zjednoczonej Serbii, będącej zrealizowaniem dawniejszych wielkoserbskich aspiracyi, które tyle krwi zepsuły byłemu rządowi austryackiemu. Mała Serbia była na terenie bałkańskim miejscem stałego ścierania się wpływów austryackich i rosyjskich. Za panowania dynastyi Obrenowiczów miała tu Austrya widoczną przewagę, wpływy jej spadły do zera, gdy po tragicznej śmierci króla Aleksandra i osławionej jego małżonki Dragi Maszin, powróciła na tron rodzina Karageorgiewiczów, z którą wiązały się świetne tradycye serbskich walk o wyzwolenie. Odtąd stała się Serbia źródłem politycznego fermentu, który ostatecznie był bezpośrednim powodem wybuchu wojny światowej.

Po zamordowaniu Aleksandra, do czego, jak ogólnie twierdzono, przyłożył ręki zmarły obecnie król, powołano na tron serbski Piotra Karageorgiewicza, przebywającego dotąd stale we Francyi, a popieranego gorąco przez rząd carski. Książę Piotr przyjął ofiarowaną mu koronę, zaznaczając przy objęciu rządów, że pragnie być „prezydentem chłopskiej serbskiej republiki“. Ożeniony z księżniczką czarnogórską Zorką, zatem zięć zmarłego niedawno Mikity, miał król Piotr troje dzieci, księżniczkę Helenę i synów Jerzego i Aleksandra.

Pod jego rządami skonsolidowała się Serbia, stając się państwem, z którem liczyć się poważnie musieli sąsiedzi, a walki z Turkami dowiodły żywotności tego narodu. W wojnie światowej odegrała Serbia wybitną rolę. Początkowo zajęta i zniszczona zupełnie przez armie mocarstw centralnych, w rezultacie osiągnęła to, do czego dążyła od lat szeregu, to jest zjednoczenia krajów, zamieszkałych przez ludność serbskiego pochodzenia. Odtąd dawna Serbia zmieniła się w Jugosławię, a król Piotr przyjął tytuł króla Serbii, i Kroacyi Sławonii. W kraju cieszył się król Piotr ogromną popularnością, której uroku dodawało pochodzenie z rodziny serbskich narodowych bohaterów. W ostatnich latach usunął się od steru rządów, które jako regent objął następca tronu, młodszy syn Aleksander, gdyż starszy, znany z swej awanturniczości, zmuszony był przed laty do zrzeczenia się praw pierworodztwa na rzecz młodszego brata. Obecnie wstępuje zatem na tron Jugosławii dotychczasowy regent, książę Aleksander, jako król Aleksander I. Odnośną proklamacyę ogłosiła już urzędowa gazeta belgradzka.

Młody król bawi obecnie w Paryżu na kuracyi. Słabość jego miał spowodować rzekomo zamach na jego osobę, o czem dopiero teraz w sposób bardzo lakoniczny donoszą pisma zagraniczne. Przysięgę na konstytucyę złoży król Aleksander po powrocie do ojczyzny, zaniechano bowiem zamiaru wysłania doń deputacyi, aby ją odebrała od niego we Francyi.

Pogrzeb zmarłego króla Piotra odbędzie się w Belgradzie. Wezmą w nim udział przedstawiciele wszystkich mocarstw Koalicyi, między nimi książę Walii w zastępstwie króla angielskiego.



Jak Niemcy zohydzają swych nieprzyjaciół: Niemiecki film kinematograficzny, mający za zadanie wykazać okrucieństwa kolorowych żołnierzy francuskich na ziemi niemieckiej.

Jak Niemcy zohydzają swych nieprzyjaciół.

Wszystko na świecie ma swój koniec, niema go jedynie bezczelność niemiecka, zwłaszcza, o ile rozchodzi się o przedstawienie szerokiemu światu siebie samych, jako nieszczęśliwych męczenników, ciemiężonych brutalnie przez pozbawionych serca wrogów. Z podobnymi dwoma wypadkami prostej perfidyi spotkaliśmy się w ostatnich czasach w prasie niemieckiej. Jeden z nich dotyczy oczywiście nas, drugi Francuzów.

W numerze 3966 monachijskich *Fliegende Blätter* z dnia 29. lipca b. r. znajdujemy dwie illustracye zatytułowane: *Polnischer Dank oder „Es gibt nichts Neues unter der Sonne“*. Jedna z nich, wyjęta rzekomo z rocznika 1861 tegoż pisma, przedstawia, jak w Niemczech przed trzydziestu laty, t. j. po powstaniu listopadowem, przyjmowano serdecznie Polaków i jak gorąco zajęto się ich losem, druga zaś, jak obecnie odwdzięczają się za to Polacy Niemcom, katując ich i znęcając się nad nimi na swej ziemi. Na pierwszej z nich widzimy jakieś obdarte postaci, o dzikim wyrazie twarzy, przybrane w nieodzowne konfederatki, a obok nich gromadę eleganckich Niemców obojga płci, obdarowujących ich różnymi przedmiotami i współczującymi z ich nieszczęsnym losem. Na drugim, mającym przedstawiać, co się obecnie dzieje na ziemi polskiej, spotykamy te same osoby w konfederatkach, znęcające się nad Bogu ducha winnymi Niemcami, obok zaś inne, im podobne, plądrujące domostwa, zamieszkałe przez Niemców. Ale jakże dziwnie przedstawia się ta „polska ziemia“, gdy na wywieszkach przed sklepami widnieją napisy: *Schulze-Bäcker*, *Mayer-Conditor*.. Chyba to zatem nie polska ziemia, jeśli zaś rycina miałaby się odnosić do Górnego Śląska, gdzie przecież nie bijemy, lecz przeciwnie, jesteśmy bici, to mimowoli przyznają Niemcy, że Górny Śląsk jest nasz i oni do niego nie mają prawa. Czytelnik *Fliegende Blätter*, które dotąd unikały stale mięszania się w sprawy polityczne, patrząc na te obrazki, a nie zdając sobie z tego sprawy, że to wymysł hakatystycznej fantazyi, musi boleć nad losem „niewinnych“ Niemców, którym w tak brutalny sposób odwdzięczają się za ich dobrodziejstwa polscy barbarzyńcy.

Drugi fakt, to film kinematograficzny, propagowany szeroko w całych Niemczech przez berlińską *Heimatdienst*, a mający zaznajomić szeroki ogół tak Niemiec, jak i zagranicy, z bestyalstwem kolorowych wojsk francuskich, dopuszczających się na niemieckiej ziemi niesłychanych okrucieństw. I znów tam widzimy nieszczęśliwą ofiarę niemiecką, jasnowłosą Gretchen, na której cześć i życie dybią namiętni a okrutni czarni, a w jej obronie staje bezskutecznie dzielny rodak. Na filmie tym, prawdziwe są jedynie mundury żołnierzy francuskich, gdyż ci, którzy je noszą na sobie, grając rolę kolorowych żołnierzy francuskich, wyglądają bardzo podejrzanie, w osobie zaś „jasnowłosej Gretchen“, która padła ofiarą ich dzikości, rozpoznano jedną z zawodowych artystek kinematograficznych, cieszącą się dotąd jak najlepszem zdrowiem.

W odpowiedzi na tę napaść na żołnierza francuskiego, podają paryskie pisma tym razem autentyczną zupełnie fotografię, stwierdzającą aż nazbyt dowodnie, że na obszarach okupowanych współżycie kolorowych żołnierzy francuskich z miejscową ludnością, zwłaszcza zaś z żeńską częścią, było zupełnie poprawne, a niejednokrotnie, aż nazbyt przyjacielskie.

Od Redakcyi.

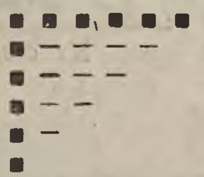
Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Geograf z nad Wisły.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwisko jednego z polskich miast.



Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Jezioro w Rosyi, 3. Powieściopisarz francuski, 4. Postać biblijna, 5. Nazwa karty, 6. Spółgłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Jakubski Kraków.

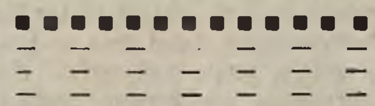
Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek czytane kolejno z góry na dół, utworzą nazwę znanego środka leczniczego.

l — — a
t — — a
p — — a
ż — — w
z — — k

Grzebieniówka.

Ułożył H. Bielski Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwę jednego ze świąt kościelnych.



Znaczenie wyrazów: 1. Napój alkoholowy, 2. Duchowny muzułmański, 3. Postać z dziejów Polski. 4. Jeden z żywiołów, 5. Wyżyna w Azyi, 6. Znany matal, 7. Kraj na Bałkanie.

Logogryf.

Ułożył K. R. Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko jednej z rodzin panujących.



Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce święte dla Turków, 2. Polskie nazwisko szlacheckie, 3. Rodzaj łodzi, 4. Dopływ Wisły, 5 Ptak domowy, 6. Postać biblijna, 7. Miasto we Wschodniej Małopolsce, 8. Okres czasu, 9. Naród koczujący, 10. Rzeka w Afryce, 11. Wyspa na morzu Śródziemnem, 12. Imię żeńskie. 13. Rodzaj gleby, 14. Przeciwnik Lutra, 15. Miasto w Rosyi.

Za dobre rozwiązania wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) J. Żuławskiego „Na srebrnym globie" (powieść), 2) J. Lasoń „Legendy".

Rozwiązanie zagadek z Nru 33

Grzebieniówka: Toga, K, Omar, ś, cyna, i, Ural, s, Zola, k, opal.

Logogryf: Bug, Ito, sól, kord, Ursus, Pitt, Sue, Kadi, Inn.

Zgłoskowa. W starym piecu dyabeł pali.

Zadanie do uzupełnienia: Kama, Ezaw, mora, Apis. Lena, Bari, atom, Soła, Zola, agat.

Okienko. Wanda, Namur. adres.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: C. Górny Limanowa, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol J. Cześnikiewicz Kraków, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków. S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kraków, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, J. Cercha Miechów, H. Rakowiecka Warszawa, J. Pileszkowa Pistyń, B. Lidenburg Warszawa, M. Kurnatowska Dopczyce, C. Niedziałkowska Kraków, M. Świderska Toruń, J. Oruchowski Stryj.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Oruchowski Stryj (powieść); 2) M. Świderska Toruń (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.